ROK I — Warszawa, dnia 27 marca 1932 r. — Nr. 1

ZET
sztuka kultura i sprawy społeczne

zet — cena 50 gr. — dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Dlaczego?

I. *Dlaczego* kryzys cywilizacji współczesnej przybrał rozmiary tak olbrzymie i ciągle jeszcze się pogłębia?

— Bo cywilizacja nasza weszła na ślepy tor, rozmijając się z właściwym kierunkiem wytyczonym ludzkości przez niewzruszoną logikę dziejów. Bo podważone zostały podstawy prawa moralnego, a relatywizm i materjalizm odwrócił umysły od idei Boga i od idei czystego rozumu. Bo atomizacja myśli zabiła w ludziach zdolność syntezy, bez której niepodobieństwem jest już dzisiaj ogarnąć i świadomie uporządkować wielość zjawisk życia społecznego.

II. *Dlaczego* powstaje dziś — pod grozą auto da fe powszechnego, pod grozą bomb i gazów trujących — konieczność wyłonienia się na ziemi nowego ładu moralnego?

— Bo nadszedł czas największej przemiany, jaką miała kiedykolwiek miejsce w dziejach świata, dzięki współczesnemu rozwojowi współzależności wszystkich form społecznych i narodów. Nadszedł czas rewizji wszystkich systemów pojęciowych i wszystkich światopoglądów, zarówno jak instytucyj prawno-społecznych i różnych bankrutujących pseudo - autorytetów. Czas zamierania i dogasania jednej potężnej Ery dziejowej, a rodzenia się drugiej.

III. *Dlaczego* zaszła nieuchronna konieczność wyjścia poza kredowe koło wczorajszych prawd i tradycyjnych kanonów, nałogów myślowych i przesądów — i założenia podwalin nowej Ery?

— Bo każda epoka historyczna ma swoją własną prawdę, swój własny cel, swój powszechnie uznany autorytet. Dziś niema prawdy, niema autorytetu, niema celu. Zamęt i chaos międzynarodowy trwać będzie tak długo, dopóki nie zostanie ustanowiony nowy autorytet, jeden jedyny dla wszystkich dziedzin życia, tj. zarówno polityczny i gospodarczy, jak umysłowy, religijny i społeczny.

IV. *Dlaczego* ten niezbędny dziś nowy autorytet powszechny jest tak trudny do wykrycia i rozumowego określenia — dlaczego ludzkość poszukuje go w takich męczarniach, wśród tylu walk, kataklizmów i przewrotów społecznych?

— Bo tym razem idzie już o autorytet najwyższy i ostateczny, do którego wszystkie poprzednie były tylko przygotowaniem i wstępem. Idzie o autorytet wspólny dla wszystkich, zarówno dla jednostek, jak dla całej ludzkości, zarówno dla władców jak dla poddanych — dla prawicy i dla lewicy — dla filozofji i religji — indywidualistów i uniwersalistów — pracodawców i pracowników — laicyzmu i Kościoła. Idzie o autorytet, na którym jak na kamieniu węgielnym stanąć może gmach prawdziwej Unji państw i ludów, gmach pokoju, rozbrojenia i sprawiedliwości społecznej.

V. *Dlaczego* taki absolutny autorytet nie mógł być znaleziony ani przez partje i klasy, ani przez rządy i Ligę Narodów, ani przez dyplomatów i ekonomistów?

— Bo leży on poza zasięgiem ich wzroku, poza terenem ich działalności, poza sferą ich możliwości i wpływów. Bo jest on transcendentny w stosunku do faktów i zjawisk już przez to samo, że wszystkie one są jego wytworami, mieszczą się w jego orbicie, w nim samym. Autorytetem tym jest prawda absolutna, czyli świadomość samej istoty rzeczywistości, świadomość przyczyn i celów ostatecznych, świadomość sensu życia i bytu, najwyższego celu wszystkich procesów dziejowych, wszystkich dociekań umysłowych i dążeń praktycznych. Oto jest ta poszukiwana prawda rodzącej się Ery, tej ery cel i autorytet powszechny. Łatwo pojąć, że tylko elita intelektualna ludzkości może ten autorytet — wspólnym heroicznym wysiłkiem — odkryć i ustalić.

VI. *Dlaczego* cały problem cywilizacji współczesnej sprowadza się do tego, czy elita intelektualna ma dość sił twórczych i umysłowej dyscypliny, aby znaleść ten cel i autorytet najwyższy?

— Bo tylko ona odczuwa wspólnotę dóbr kulturalnych i uznaje jednię podstawowych zasad rozumu dla wszystkich jednostek i wszystkich ludów. Bo tylko ona może wyznaczyć punkt przecięcia się dążeń tęsknot i światopoglądów różnych indywiduów i grup społecznych — w prawdzie i w rozumie. Bo tylko ona rozumie dobrze sens słowa: człowieczeństwo i wie, że ideałem jego nie jest ani siła militarna, ani dobrobyt gospodarczy — lecz sam człowiek. Tylko ona dążyła tradycyjnie do ładu moralnego, w którym byłoby miejsce na wolny rozwój wszystkich twórczych pierwiastków ducha ludzkiego. Tylko w jej posiadaniu wreszcie znajduje się najwłaściwszy środek do założenia tego autorytetu powszechnego — filozofja.

VII. *Dlaczego* filozofja stanowi najwłaściwszy środek poszukiwania prawdy, autorytetu i celu, dlaczego w rękach elity intelektualnej świata może się ona stać potężną dźwignią nowego ładu?

— Bo wieczystym problematem filozofji jest sam sens rzeczywistości, sama Tajemnica Istnienia. Bo wszelkie dociekanie filozoficzne sprowadza się u źródła do pytania: „dlaczego"? — czyli pytania o przyczynę i cel wszechrzeczy. Bo tylko ona doprowadzić nas może do zrozumienia istoty rzeczywistości, a tem samem do prawdy absolutnej. A przecież tylko na prawdzie ugruntować możemy ten nowy ład moralny, oparty na współdziałaniu Boga i Człowieka, usymbolizowany przez poetów i świętych we wizji Królestwa Bożego na ziemi.

VIII. *Dlaczego* polska elita intelektualna winna pierwsza podjąć wysiłek założenia konkretnych i mocnych podwalin pod gmach jutrzejszej Ery?

— Bo kraj nasz leży w centrum geograficznem Europy w punkcie krzyżowania się dwu przeciwstawnych sobie światów ideowych. Bo Zachód niema dziś żadnej idei — a Wschód ma ideję fałszywą. Bo narody zachodnio - europejskie zużyły już swe siły w ciągu dwu tysiącleci minionej ery i błądzą bezradnie w labiryncie materjalistycznego światopoglądu — a Rosja eur-azjatycka zabrnęła w absurd gospodarczo - społeczny, daleki od prawdy. Bo Polska wraz z ciążącemi ku niej ludami słowiańskiemi, bizantyńskiemi i bałtyckiemi — stanowi dziś nową potencjalną i naturalną transzę sił dziejowych, zdolną do zastąpienia wyczerpanych moralnie zapaśników. Bo posiada ona niezrealizowane dotąd koncepcje historyczne i ideje, które dawniej przedwczesne, stają się aktualne w dobie współczesnej. Bo ludzkość i Bóg — to były zawsze piony orjentacyjne jej filozofji i jej sztuki.

IX. *Dlaczego* hasłem rozpoczynanej dziś reformy pojęć i norm etycznych musi być dźwignięcie cywilizacji europejskiej z płaszczyzny materji na płaszczyznę ducha?

— Bo tylko powrót do najwyższych sprawdzianów rozumu, do transcendentnej podstawy życia — może ustanowić punkt wyjścia i bazę operacyjną koniecznych reform — w okresie, gdy przerażający chaos wypływa w prostej linji ze względności i płynności sądów, z mętnego irracjonalizmu, z braku powszechnie uznanych kryterjów i niewiary w niewzruszone zasady moralności i rozumu.

X. *Dlaczego* sztuka — w osobach swych przedstawicieli i szermierzy musi się stać świadomym współtwórcą procesu dziejowego?

— Bo sztuka jest wyrazem Piękna, a Piękno formą absolutu, czyli rzeczywistości samej w sobie, będącej warunkiem wszelkich procesów fizycznych i duchowych, wszelkich zjawisk. Wynika z tego, że twórcom nie wolno odgraniczać się i żyć na marginesie problemów aktualnych dla społecznego środowiska. Muszą oni określić swój stosunek do zjawisk życia zbiorowego, do człowieczeństwa, wreszcie do samej prawdy naszych czasów. Aby jednak ludzie ci mogli odegrać czynną rolę w budowie nowej kultury duchowej, musi wpierw nastąpić zwrot ku dążności metafizycznej w sztuce, ponieważ ta dążność spójna jest z samą jej istotą, jako wyrazem Piękna - Absolutu.

XI. *Dlaczego* apel do polskiej elity intelektualnej o inicjatywę historyczną — wychodzi właśnie od twórców, od pisarzy, od sztuki; dlaczego zadanie zaalarmowania opinji publicznej jej przypadło w udziale?

— Bo zatracono dziś poczucie ładu, celowości i harmonji elementów zbiorowego współżycia; a przecież właśnie sztuka jest bezpośrednim wyrazem transcendentnej idei Ładu, Celowości i Harmonji. Bo w braku celu i motywu twórczego — wzięły dziś górę pierwiastki anarchicznej destrukcji, z któremi Państwo i Kościół borykają się napróżno. A przecież to właśnie sztuka niesie w sobie zasadę konstrukcji i jest naturalnym wrogiem rozkładowych destrukcyjnych popędów.

XII. *Dlaczego* polska elita pobudzona przez apel ludzi sztuki musi przedewszystkiem zrzucić z siebie jarzmo okupacji duchowej i oczyścić atmosferę intelektualną i kulturalną Polski współczesnej?

— Bo sytuacja w Polsce ułożyła się tak, że została uśpiona czujność zarówno elity, jak i społeczeństwa polskiego na wielkie zagadnienia, z jakiemi zmaga się ludzkość współczesna. Bo pustkę myśli i idej zamaskowano bezdusznym eklektyzmem i kultem ślepego rzemiosła w sztuce. Bo zatruto ducha polskiej sztuki giełdziarstwem i reklamiarstwem, prowadząc przedsiębiorstwo handlowe tam, gdzie winno znajdować się ognisko czystej, niefałszowanej twórczości duchowej narodu. Bo wniesiono pomiędzy nas mentalność negatywną i destrukcyjną, a na opanowanych pozycjach nastąpił marazm umysłowy, bezideowość i gnuśne lenistwo.

XIII. *Dlaczego* pierwszym czynem polskiej elity intelektualnej winna być żarliwa praca nad intelektem, tak bardzo zaniedbanym?

— Bo tylko potężna dyscyplina logiczna i filozoficzna wyszkolić może umysły i uczynić je pojemnemi na zagadnienia najwyższe, zdolnemi do podjęcia misji historycznej, określonej powyżej, jako szukanie prawdy, celu i powszechnego autorytetu. Tylko dyscyplina filozoficzna uprawnia dziś ludzi elity intelektualnej do wzięcia na siebie trudnej i zaszczytnej roli przywódcy i nauczyciela duchowego narodu, budowniczego kultury, szermierza idej. Tylko orjentacyjny pion: Platon - Arystoteles - Św. Tomasz z Akwinu - Kartezjusz - Kant-Wroński — może być dla niej należytym, właściwie ukierunkowanym drogowskazem.

XIV. *Dlaczego* konieczny jest nawrót do czystych źródeł polskiej kultury, polskiej filozofji i polskiego prometeizmu w sztuce?

— Bo zerwanie łączności z tą bazą pozbawiło naszą elitę sił żywotnych i naturalnej podstawy ideowej. Bo w tradycyjnych elementach polskiego poglądu na świat tkwią ziarna koncepcyj, do których cywilizacja europejska dociera dopiero dzisiaj. Bo ideje reformatorskie naszych myślicieli (Hoene-Wroński, Trentowski, Cieszkowski, Libelt i in.) i prometejskie porywy naszych poetów (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Wyspiański) stanowią testament, nie wykonany dotychczas, a pozwalają polskiej inicjatywie odegrać decydującą rolę historyczną w jutrzejszej Europie.

XV. *Dlaczego* pismo nasze wychodzi z tak bogatym rynsztunkiem ideowym i podejmuje walkę o najwyższy sens życia, o nowy ład moralny, o rząd rozumu, wsparty na autorytecie prawdy absolutnej?

— Bo wszystkie inne problemy są mniej ważne i tylko ten jeden zdaje się być rozstrzygającem „być albo nie być" dla współczesnego człowieka. Bo ktoś wreszcie musi dać hasło do generalnej rozprawy z groźnem Fatum dziejowem, w które ludzkość zaplątała się tak tragicznie. Chimera musi być pokonana. Genjusz polski winien dać sygnał do konstrukcji nowego ładu, nowej Chrystusowej kultury, którą polscy myśliciele i polscy poeci nazywali tak wzniośle: ERĄ PARAKLETA.

Rezurekcja

Wychodźcie, wychodźcie Pieśni!

Już czas. Szykujcie się w, przyłbicach złotych, do szeregu.

Od ziemi aż do gwiazd w zenicie dygocą szarpane struny poezji, drży polska harfa Dawida.

Uszy słyszą, oczy widzą, a usta wymawiają prędkie, radosne słowa. Miasta wezbrały weselem, na rzece tłumów kołysze się łódź ewangeliczna. Śmieją się, śmieją się rybacy, wyciągając ciężkie, obfite w połów wiecierze.

Wczoraj jeszcze mgła stała nad ciemnym, europejskim lądem. Wczoraj jeszcze duszno było od krwi, ludzie oddechali trwogą i potrącali się w ciemnościach. Wczoraj gwizdał wiatr po pustkowiu serc, ugorze mózgów. Jak szary, włosienicowy wór omotała narody historja.

Dzisiaj o świcie wybuchają petardy. Czy to armaty w Szanghaju?

Widzę słońce, czerwone jeszcze, od krwi lub od zorzy. A może to japońska flaga nad Wschodem?

Mroki pierzchają, bełkot narodów przycicha, kupcy i aptekarze, generałowie i wróżbici, wszyscy patrzą w milczeniu na niebo, czekając na sygnał Ery. Nawet blade, znużone damy czują nerwowy ucisk w piersiach, gdy wracają od kochanków przez różowo połyskujące ulice. Czy to wiosna napiera na nie znienacka, czy może przez łzy, pieszczoty i szminkę dosłyszały nawoływanie Jedynego Oblubieńca?

Tramwaje dzwonią, listonosze roznoszą listy, Europa wre zgiełkiem doczesnym od rana. Czy jest możliwe, czy jest możliwe, żeby w charkot giełdziarzy wtargnęły naraz surmy aniołów, idących po żniwo? Czy jest możliwe najście światłości, trjumf Pieśni, tętent spiżowych zwiastunów? Czy wmieszał się Bóg w sprawy karzełków i rozwiąże nareszcie trudne, niezrozumiałe szarady?

Patrzcie patrzcie, co się dzieje w tym zbiegu wszystkich dziejowych węzłów, w kraju co ma kształt orła na mapie.

Patrzcie na Akropolis wawelskie, gdzie dudnią kroki stuleci pochody duchów i królów.

Cztery ogromne twarze płoną odblaskiem ognia, włosy ich kędzierzawe, rozwichrzone, biało - złote. Nadbiegły, przeszły pomiędzy miljonem trumien, zmartwychwstałe, czujne, zawsze na straży.

Krzycz Mickiewiczu krzycz Słowacki, o krzyczcie Krasiński i Norwidzie! Na głos wasz porwie się Bóg i wytryśnie nad Polską gorejącym krzakiem. Módlcie się, na wasz głos rzesze obudzą się ze snu i będą iść, iść nieprzejrzane.

Zeszłyście ku nam nareszcie, o cztery twarze ewangeliczne. Za wami, przechylając się tanecznie, przybliżają się gromadzą wszystkie zapomniane mity. Polska już jękła na zew, jak wielka, rezonansowa skrzynia. Duch ją rozsadza, pieśń napełnia, przestrumienia po brzegi.

Kto woła? Kto wzywa? Kto śpiewa?

Alleluja!...

On wstał już. Barami podnosi niebiosa. Biodra otrząsł ze szmat zbutwiałych. Cały jaśnieje jak słońce.

Czas się dopełnia i historja jawi się posłuszna na wezwanie poetów. Nie minie wiek, aż się ucieleśni każde prorocze słowo. Nie minie wiek, ażby nie powstał archanioł słowiański. Ażby harfiarz Dawid nie zabił małym niewysłownym kamykiem Goljata z gliny. Ażby trzeci Jeździec nie przeszedł po rumowisku z szalą w rękach i z różdżką oliwną na czapce. Ażby nie zajaśniała twarz Człowieka Nieśmiertelnego ponad kolumbową łodzią pieśni.

I nie minie wiek, ażby nie otwarło się niebo i klucz nie został dobrany do wrótni, Ażby nie wyleciał rycerz na koniu białym, który ma imię na czole napisane, którego nikt nie zna, tylko on sam. A będzie miał biodra opasane, a szata jego omoczona we krwi. I wyjdzie z ust Jego miecz wielki, z obu stron ostry, aby nim bił narody. Albowiem on je rządzić będzie laską żelazną, a on tłoczy prasę wina zapalczywości i gniewu Boga wszechmogącego.

Alleluja!

Albowiem jako błyskawica rozdziera niebiosa od wschodniej strony aż po zachodnią stronę — tak będzie nadejście Syna Człowieczego.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Wychodźcie, wychodźcie Pieśni!

Już czas. W przyłbicach złotych do szeregu.

Od ziemi aż do gwiazd w zenicie dygocą szarpane struny poezji, drży polska harfa Dawida.

J. B.

Ginąca era

SAMOBÓJSTWO ERY.

Spengler nie mylił się. W dziesięć lat po jego złowróżbnej książce Europa tonie już w fali samobójczego pesymizmu. Rzeczywistość okazuje się nieubłagana. Potęgi finansowe kruszą się, wiara w przejściowość kryzysu osłabła, za kulisami debat rozbrojeniowych odbywa się wyścig zbrojeń. Robi się nastrój nieomal apokaliptyczny. Mnożą się artykuły, książki, odczyty na temat rozkładu cywilizacji współczesnej, a w nich pisze się i mówi już nie o błędach systemu gospodarczego, nie o nierozwiązalności problemów politycznych —lecz wprost o tajemniczych potęgach nadprzyrodzonych, którym nie sposób stawić czoła. Ludzie u steru rządów czują się jak dzieci w ciemnym pokoju. Ludzkość uświadamia sobie potrzebę znalezienia wspólnej platformy, wspólnego języka gospodarczego, politycznego, moralnego— ale osiągnięcie takiej wspólnoty okazuje się niemożliwem, wobec braku wiązadła, braku jakiegokolwiek celu powszechnego.

Są to znamiona agonji przedśmiertnej. Żadna grupa społeczna nie może żyć i działać bez celu, bez idei, tembardziej grupa złożona z miljarda istot, należących do różnych ras, narodów, klas i wyznań. Dogasająca era nie ma na to recepty i stąd bieg w próżnię, wymknięcie się procesów dziejowych z pod kontroli i z pod władzy ludzkiej. Rzeczywistość narasta i piętrzy się poza oknami genewskiego pałacu Ligi, poza murami parlamentów, poza gabinetami szefów międzynarodowej finansjery. Wczorajsze światopoglądy, systemy pojęć i metody polityczne rozmijają się z tą rzeczywistością, co sprawia, że cała sytuacja światowa przeistacza się szybko w złowrogą groteskę.

Doktryn jest wiele — ale żadna nie wystarcza, nie ogarnia całokształtu zjawisk. Świat materji skupia się, ciąży ku sobie, spaja się węzłami radja, komunikacji samolotowej, krążących kapitałów, ale świat ducha rozprzęga się coraz bardziej. Atomizacja myśli postąpiła tak daleko, że ludzie zatracili prawie zupełnie zdolność syntezy. Względność jakichkolwiek kryterjów wywołuje w umysłach stan niepokoju i fermentu. Sądzę, że podobny niepokój odczuwają szczury przed ucieczką z tonącego okrętu. Znużenie napięciem nerwowem jest o tyle niebezpieczne, że shisteryzowana ludzkość może naraz z okrzykiem ulgi runąć w otchłań nowej rzezi wojennej. Byłoby to samobójstwo en masse, tragiczny finał gasnącej ery.

„Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wzwyczajone pooglądać na sińce zgonu rozciągające się po ciele Europejskiego świata! — Stąd ból wieczny co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie, a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już jak za dawnych lat, jeno powtarzacie: źle nam jest. — Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń... Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!“
Zygmunt Krasiński
„Przedświt“.

CHAOS CELOWY.

W momencie, gdy człowiek przestaje panować nad biegiem wypadków, wkracza na arenę Fatum, ślepa, nieubłagana siła, tak dobrze usymbolizowana w tragedjach Greków. Fatum — to prawo przyczynowości w całym swoim bezwładzie. Mnogie procesy gospodarcze i społeczne, rozprzężone i bezplanowe, toczą się jak kule po równi pochyłej, zderzają się, powodując kataklizmy, łączą się w narastające lawiny. Równowaga mechaniczna, raz zwichnięta, nie powraca. Machina rozluźnia się, śruby wykręcają, tryby zahaczają o siebie bezładnie. Powstaje panika. Ludzkość zaczyna szukać gorączkowo przyczyny rozstroju, potem środków mechanicznej naprawy, później hamulca moralnego, wreszcie jakiejś wszechmocnej, uniwersalnej recepty na swoje ustrojowe niedomagania. Daremność wysiłków na dotychczasowej płaszczyźnie zmusza ją do szukania rozwiązań w wyższej sferze. Wypadki rozwijające się z błyskawiczną szybkością, osaczają ją zewsząd i jakby zagamają ostrzegawczo na właściwą drogę, z której zboczyła tak sromotnie.

Dojrzewa świadomość, że przez kombinowanie i zestawianie dotychczasowych środków i metod — nie dopnie się celu. Trzeba wynaleźć środek nowy, nieprzewidziany, potęgą swoją zdolny powstrzymać i uporządkować rozpętane żywioły. Środek, koncentrujący w sobie celową, świadomą wolę całej ludzkości, zdolny nakreślić plan wielkiej, powszechnej przebudowy.

„Anarchja tak okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech! — Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedyż Bóg opuścił historję, gdy historja wzniosła ku Niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: Pokaż się nam, Panie!“ **Zygmunt Krasiński**
„Przedświt“.

NIESPODZIANKI HISTORYCZNE.

Przyszłość jest kartą zakrytą. Ludzkość ma tak ubogą wyobraźnię, że usiłuje odgadnąć rysunek tej karty według teraźniejszych szablonów. Szczególnie czasy, w których my żyjemy, obfitują w ludzi trzeźwych i realnie myślących. Te biedne trzeźwe karzełki nie wiedzą, jak bardzo nielitościwie śmieje się z nich historja. Nic dziwnego. Zasady jej gry są bardziej skomplikowane, niż to się wydaje bankierom i ministrom a monotonja jest jej obca. Można sobie wyobrazić, że skądś, z zenitu sklepienia dziejów, Ktoś spogląda pobłażliwie na rojowisko genewskie i słucha mów tych nudziarzy ze smutną wzgardą.

Historja ma swój patos. To trzeba zrozumieć, zwłaszcza w epoce tak trudnej, jak obecna, gdy miljard ludzi błądzi poomacku w poszukiwaniu prawdy i celu. Maluczkie twory, zależne od praw przyrody i przypadku, mają oczywiście swoje kryterja, swoje miary. Ale Rozum, którego polem działania jest nieskończoność, buduje rzeczywistość podług innych norm, w innych wymiarach. Bieg procesów dziejowych nie jest napewno mniej potężną koncepcją kosmiczną, niż ruch pozagalaktycznych układów. Dlatego należałoby sądzić, że jeżeli jest wyjście z ślepej ulicy, w jaką zabrnęła cywilizacja współczesna, to nastąpi ono przez bramę, której nikt dotąd nie dostrzegał. Będzie to rozwiązanie niespodziane, proste, olśniewające.

Ludzie gasnącego Rzymu szli w próżnię. Zawikłani w swoje nałogi, przesądy, systemy pojęciowe, w swoje wojny i ustrojowe rewolucje — nie mogli w najśmielszych wizjach poetyckich przewidzieć prawdziwego biegu przyszłych wypadków. Śmialiby się, gdyby im ktoś powiedział, że grupka rybaków wysłanych przez pewnego mieszkańca Nazaretu, przewróci do góry nogami cały porządek społeczno - polityczny, wstrząśnie posadami całego rozbudowanego świata klasycznego, rozpocznie nową erę historyczną. Tę wielką niespodziankę przewidziało, a raczej przeczuło wtedy kilkunastu żydów, jakichś Jeremjaszów, Ezechjelów i Zacharjaszów, tych proroków, czy raczej poetów Starego Testamentu (naród polski utożsamia te dwa pojęcia w doskonałym terminie: wieszcz, co oznacza zarazem proroka i poetę).

Należałoby mniemać — przez prostą analogję historyczną — że coś podobnego mogłoby się powtórzyć i dzisiaj. Kilku polaków — Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Wyspiański — zapowiada znowu niezwykłą niespodziankę pod koniec okresu, zwanego przez teologję Nowym Testamentem. Oczywiście „trzeźwi europejczycy“ śmieją się z tego. Tak samo zresztą, jak Rzymianie śmiali się z tamtych.

WIELOŚĆ MESJASZÓW.

Tymczasem jednak ta sama trzeźwa i sceptyczna Europa wydaje się być bliską obłędu. Spójrzmy tylko. Szydzą tu z Mesjasza, z tego Jednego, który był prawdziwym i którego wskazówki i nakazy należałoby dobrze rozważyć właśnie w momencie obecnym — ale równocześnie obierają sobie i gloryfikują cały kompleks mesjaszów fałszywych. Mesjasz Marks ma już swoje kościoły międzynarodowe, swoje ewangelje i odszczepieństwa, mesjasz Lenin spoczywa we wzniosłem mauzoleum, w antychrystowym Watykanie moskiewskim, a tłumy obywateli państwa Czerwonej Inkwizycji tłoczą się ku jego trumnie w niezliczonych pielgrzymkach. „Eia eia allala“ — to święte hasło wyznawców małego mesjasza faszyzmu, a drugi mały mesjasz rozkołysał tłumy okrzykiem: „Deutschland erwache!“ Jest też przereklamowany Einstein, mesjasz względności i wzniosły mesjasz antropozofji Rudolf Steiner. Jest mesjasz - dolar i mesjasz - wirujący stolik.

O jednym tylko Mesjaszu zapomniała Europa współczesna — o Mesjaszu Rozumu — choć to jest przecież Ten Sam, który niegdyś przed dwoma tysiącami lat niespełna nauczał uczonych w piśmie i filozofów, siedząc pośrodku nich w jeruzalemskiej świątyni.

„Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz: on to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać codzień te słowa: „Przyjdź Królestwo Twoje“ i takiem westchnieniem od lat dwuch tysięcy wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi“. **Zygmunt Krasiński**
„Przedświt“.

AMERYKAŃSKI FETYSZ.

Po wojnie światowej, gdy prestige Stanów Zjednoczonych urósł do potwornych rozmiarów, ideałem Europy omal nie stał się tępy Jankes, trzymający złotego cielca za ogon. Kult Molocha stawał się już powszechny. Hasło amerykanizacji nadało ton gospodarce europejskich rządów, wsiąkło w świadomość społeczeństw, poszło w tłumy. Chciano uczynić zeń wzór, drogowskaz dalszego postępu. „Prosperity“ upajała jak miraż, mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że nagłe zbogacenie się Ameryki było — conajmniej w równej mierze — wynikiem szczęśliwego przypadku, albo układu warunków, jak rozmachu i metod pracy Jankesa. Wywyższano już Forda ponad Kartezjuszów i Kantów, zrobiono „filozofa“ z tego poczciwego przedsiębiorcy. Za amerykańską lokomotywą pociąg europejski wjechał posłusznie na ślepy tor materjalizmu, gorączki „bussinesu“ i umysłowego barbarzyństwa. Fetysz dźwigał się, jak upiór złowrogi, ponad iście babilońską wizją nowojorskich drapaczów i hypnotyzował nas z poza Oceanu fałszywym, złudnym autorytetem. Ten autorytet, to rząd bankierów i kupców, tajemnicza centrala międzynarodowej finansjery, trzęsąca giełdą Wall-streetu.

Chwała Bogu, nie trwało to długo. Dzisiaj dolar trzepoce się niespokojnie w podmuchach zmiennych nastrojów giełdowych, tysiące potężnych banków krachują, dziesięć miljonów bezrobotnych wyje pod oknami miljarderów. Zadufani Jankesi kładą uszy po sobie i zaczynają bąkać coś o „końcu świata“. Fetysz zasnuł się mgłą niepewności. Ale ślepa, przemożna machina pracuje wciąż jeszcze, żelazna stopa dławi bunt ducha i krytycznego rozumu, depce człowieczeństwo, prześladuje intellekt — nie mówiąc już o wielkiej metafizycznej tęsknocie ludzkości do prawd absolutnych.

GENJALNA TRUCIZNA.

Biała rasa, to olbrzym, który ma twardy żywot. Instynkt samobójczy ginącej ery daremnie usiłuje go dobić. Czasy są zbyt wielkie, w porównaniu ze starożytnym Rzymem, teren działania historji rozszerzył się niezmiernie. Miljard ludzi — cyfra niebylejaka — znalazło się w orbicie samobójczego procesu. Prosta logika mówi, że trzeba tu środka na gigantyczną miarę, jakiejś uniwersalnej, genjalnie obmyślonej trucizny i to spreparowanej szczególnie chytrze.

Wszak ludzkość, która zrzuca jak wąż skórę wczorajszej ery, dąży zarazem ku nowej, wyższej formie bytu. Szuka idei, zdolnej połączyć i skierować w jedno łożysko aspiracje wszystkich grup i ludów. Szuka celu powszechnego, szuka społecznej sprawiedliwości, wyzwolenia i wcielenia tęsknot wszechludzkich, pokoju i dobrobytu, wolności duchowej i fizycznej. Pragnie jednem słowem wielkiego rzutu naprzód i w górę.

Wśród takiego nastawienia psychicznego zarówno mas, jak elity europejskiej — pojawia się na horyzoncie dziejów czerwona gwiazda i wskazując na Kreml, zdaje się wołać: Tu ideja, tu cel, tu wyzwolenie. A ludzkość jest jak matka, która czekając porodu wyidealizowała tak swe przyszłe dziecię, że nie chce widzieć ohydnych kształtów nieudanego potworka, z racicami zamiast nóg, uszami nietoperza i brzydką, baniastą głową.

Bolszewizm. Gwałt i zemsta klasowa — w miejsce sprawiedliwości. Zamiast pokoju — stuletnia wojna ze światem, wybujały militaryzm. Zamiast wolności — system szpiegowsko - policyjny, ucisk pracownika, praca przymusowa, skoszarowanie cywilnej ludności, pańszczyzna dla państwa na kołchozach, wreszcie „liszeńcy“, nieprawdopodobni nowożytni niewolnicy. Oczywiście nicość tęsknot wszechludzkich. Wbrew ideji prawdy — zniszczono wolność spekulacji filozoficznej. Wbrew ideji dobra — zniszczono prawo moralne, kult Boga i wartości wiecznych, religję. Wbrew ideji piękna — zniszczono niezależność samorzutności twórczej, celowość własną sztuki. Zamiast tego jedno jedyne hasło: „Pamiętajcie, że bogiem waszym jest żołądek“ (Lenin). W imię niego zniszczono wszystko inne z zaciekłością Hunnów — i odtąd cała Rosja chodzi z pustemi brzuchami, z kiszkami skręconemi wściekłym głodem.

Ale głód idei plus potęga reklamy — robią swoje. Europejczycy zasłaniają oczy i uszy, chcą się łudzić. Amerykańscy brzuchacze wstrzykują w anemiczne cielsko dolary. Ostatecznie — prócz prawa własności — wszystko tam zgodne jest z ich ideałem, z ich celem. Tutaj rząd kilku trustów, tam kilku komisarzy. Tutaj reakcja, wstecznictwo, powrót ku pierwocinom człowieczeństwa — i tam również. Nic dziwnego, że porównują sowiety z Egiptem starożytnym. Okrzyczane tamy „Dnieprostroju“ to nowe, abstrakcyjne piramidy, wzniesione na głodzie, nędzy i przymusowych robotach. Wreszcie cofnięcie się do prymitywów historji, do ustroju hordy — a nawet poniżej człowieka, do kopca termitów.

POLITYCZNY WĘZEŁ GORDYJSKI.

Podczas, gdy genjalna trucizna sączy się ze Wschodu wszystkiemi podziemnemi kanalikami w Europę — zachód zaplątuje się w węzeł conajmniej gordyjski. W sieci problemu odszkodowań niemieckich i długów międzysojuszniczych, europejski system gospodarczy uwiądł jak mucha. Zjazdy i targi trwają, ale to powiększa jeszcze plątaninę. Ruina ekonomiczna grozi największym finansowym potencjom. Złoto przewala się zwałami poprzez granice, bezdomny kapitał nerwowo szuka azylu. Dążności odwetowe, zmowy przeciw traktatom, powiększają powszechny brak zaufania. W tej atmosferze rządy i narody wymieniają braterskie pocałunki, chowając nóż za plecyma. Genewa jest bezsilnem, podminowanem intrygami mrowiskiem. Liga Narodów demaskuje swą słabość na konferencjach rozbrojeniowych, w które nikt wierzyć nie chce. Europę dręczy problemat ustrojowy, zarówno wewnątrz poszczególnych państw, jak nazewnątrz, w postaci koncepcji międzypaństwowej. Idea wspólnoty gromadzi nad Lemanem pięćdziesiąt narodów, instynkt samozachowawczy pcha ku tej przystani — ale cóż kiedy fabryki wyrabiają wciąż bomby, gazy trujące i ręczne granaty. Masowe samobójstwo przysposabiane jest metodycznie, fachowo, z pełną świadomością.

Nad wzniosłą konstrukcją federacji światowej, która — poprzez tradycję napoleońską — fascynuje nieszczęsną ludzkość, jak mirażowe miasto na chmurach, zawisa nagle złowróżbna zmora, płonące miasto rzezi, przeraźliwy huk bomb i bój na bagnety wśród gruzów — Szanghaj! Komunikaty donoszą, że żadne miasto z czasów wojny światowej, nie daje wyobrażenia o cmentarzysku w Sza-pei. A tam jeszcze nie było wojny chemicznej i trujących gazów. Wystarczyła porcja dziesięciu bomb na każdy dach, odliczona z chłodną, matematyczną precyzją.

A więc Szanghaj — i Ludzkość! Ludzkość — i Szanghaj!

„Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historja; wie, że nią rządzi mądrość Boża i że celem jej jest ludzkość czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał!.... Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywemi są narodowości, w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice..:“

(„Albowiem, jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego choć ich wiele jest są jednem ciałem, tak i Chrystus“.
Św. Paweł. List I. do Koryntjan).
Zygmunt Krasiński
„Przedświt“.

ŁÓDŹ PIOTROWA.

Po tem wzburzonem morzu pływa symbol ludzkości Chrystusowej, symbol prawdziwego, Bożego Królestwa na ziemi — Łódź Piotrowa. Burza wstrząsa nią zajadle, powszechny zamęt obryzguje pianą, wicher od wschodu dmie w poszarpany żagiel. W Niemczech nawołują do pogaństwa, w Hiszpanji wolnomularstwo trjumfuje. Jezuici znów wypędzeni. W Moskwie wali się symbolicznie katedra Zbawiciela. Siłą faktu narasta zatarg z państwem, które chce wziąć na siebie rolę wytęsknionego autorytetu. Prawo moralne zachwiane, laicyzm atakuje coraz zuchwalej. Zresztą intellekt dopomina się o swoje prawa, nie chce już wierzyć ślepo, pyta o rozumowe kryterja. Tymczasem Kościół ma już przeciwko sobie nietylko krytycyzm naukowy, anarchję zasad etycznych, laicyzm i bolszewizm, ale i własny swój konserwatyzm, apatję i doczesność kleru, brak postawy heroicznej, wreszcie ciasnotę swych zwolenników, którzy zamiast użyć potężnych środków umysłowych, dostarczanych religji przez filozofję transcendentalną — odwołują się do ciemnoty mas, w miejsce autorytetu prawdy absolutnej.

Prawda, jest Akcja Katolicka. Są oznaki, że Kościół docenia niezwykłość czasów, dopełnienie i zmierzch ery. Wszak piętnuje on cywilizację współczesną, jako świat bez Boga, rozpoczyna sam ofenzywę. Wszystko to jednak odbywa się tylko pod hasłem obrony dóbr moralnych i nie oznajmia ludzkości środka ratunku — w formie wszechstronnej i doskonałej. Być może, że Kościół wytrzyma na sobie zwycięsko napór złowrogiej fali — ale należy mniemać, że nie stworzy on już tego powszechnego autorytetu, jaki jest dziś niezbędny, a jakim był on sam w średniowieczu. W takim stanie rzeczy autorytet ten powstaćby musiał poza Łodzią Piotrową i objawić taką potęgę rozumu i woli, by przeszedł z łatwością po wzburzonem morzu naszego czasu i uciszył zawieruchę. Musiałby on wyjść niespodzianie i błyskawicowo z samego środka Europy, naprzeciw całemu zdumionemu światu. Musiałby on ruszyć z całą potęgą środków umysłowych i metod nowoczesnych w sukurs Kościołowi, osaczonemu przez wzburzone fale złości i wiry zdrady — i poddać na nowo ludzkość niezrozumianej i zapomnianej Prawdzie Chrystusowej.

„Tak mają się dzisiaj do siebie, nadchodzący postęp historji i Polska: — koniecznym pierwszego warunkiem, drugiej zmartwychwstanie! Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? Gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości! Zaprawdę, że w Polsce.

Trzeba było śmierci naszej: trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by Słowo Syna Człowieczego, wieczne słowo życia rozlało się na okręgi społeczne świata“. **Zygmunt Krasiński**
„Przedświt“.

JERZY BRAUN.

Zamiast programu

Tyle już razy powstawały u nas nowe pisma z bardzo wspaniałemi programami, lub też organizowały się nanowo już istniejące, w imię jakichś generalnych popraw jakości i obyczajów literackich. a potem wszystko zawsze w łeb brało, kończąc się na coraz niższego gatunku produkcji literackiej, na coraz gorszem zamięszaniu pojęć w krytyce i na jałowych, osobistych sporach literatników, dalekich od idejowości i rzeczowości.

Wszystkiemu temu winien jest według mnie niski poziom intelektualny i tchórzostwo ludzi oddających się u nas krytyce i literaturze.

Nie będę powtarzał tu rzeczy, które wypowiedziałem ogólnie w odczycie w „Związku Zaw. Lit. i Dzien.", drukowanym w końcu stycznia w „Gazecie Polskiej". Wogóle dość ogólników — trzeba zabrać się do wypełnienia realnego programu, a nie zajmować się wygłaszaniem nigdy niespełnionych haseł — ale na to trzeba mieć miejsce. Gdzie mają pisać ludzie, chcący wypowiadać się na jakimś wyższym, ponad codzienno - gazetkowym poziomie, jeśli nigdzie ich artykułów drukować nie chcą, nie z powodu ich lichoty, głupoty, lub nieciekawych tematów, tylko przeciwnie, z powodu ich „mądrości".

Wszystko jest „za mądre" dla naszych pism: ogłupiały czytelnik— któremu podlizują się i redaktorzy i autorzy, prześcigając się wzajemnie w „popularności" i bezmyślności („byle się nie zmęczył ten nasz kochany, sympatyczny tyran, który pozwala nam żyć i to jak jeszcze, nam w gruncie rzeczy niepotrzebnym pasożytom, jak słusznie twierdził robakolog Raabe") — musi być zadowolony. Unikanie przez pisma wszelkich serji artykułów na jeden temat powiększa ogólną umysłową sieczkę i u piszących i u czytelników. Dziś musi taki pan pisać o muzyce kościelnej w Hiszpanji, jutro o kartoflach w Peru, pojutrze o kryształkach śniegowych, a dalej o chińskiej liryce w XVII-ym wieku. Jak może być tu mowa o jakiejś umysłowej ciągłości? Jedynie kwestje ekonomiczne są wyjątkiem: te dotyczą bezpośrednio stanu worka ze złotem i w tych rzeczach czytelnik musi być wykształcony. Są to jedyne artykuły o jakim takim poziomie wiedzy i istotności ujęcia: reszta to „furda panie dziejku" w naszych zmaterjalizowanych czasach.

Całe społeczeństwo patrzy ubawione na wysiłki garstki ludzi, chcących podwyższyć poziom naszej kultury: patrzą na nich t. zw. „ludziska" jak na muchy konające w lepie. Bo u nas życie człowieka, który nie chce być lokajem sparszywiałego w umysłowem nieróbstwie pseudo - inteligenckiego motłochu: jest właśnie podobne do „tytanicznych" wysiłków takiego nieszczęśliwego owada: ledwie podniesie łapkę, już mu zakleiło się skrzydełko, ledwo to wyjął z lepu (podobnego do naszej przyjemnej intelektualnej atmosfery) już na cztery łapki i pół pyszczkowych narządów, wpadł w przeklętą maź, aż wreszcie zamęczony zakleja się definitywnie w zupełnym bezwładzie rozpaczy, wiedząc, że żaden cud nie wyrwie go z gęstniejącego świństwa.

Czy nawet ci, którzy są u nas na szczytach nie spuścili jednak z tonu w ciągu swych pozornie wspaniałych literackich karjer, czy i oni w pewnym sensie nie ulegli ogólnej, beznadziejnie lepiącej się atmosferze umysłowej naszego kraju? Sądzę, że tak. Aby nie uledz trzeba być naprawdę w normalnem, nie przesadzonem znaczeniu, bohaterem, albo mieć skądinąd zapewniony byt niezależny, a nadewszystko nie dbać zupełnie o naszą dość parszywą literacką sławę, ale nie dbać naprawdę, a nie aż „podwywać" do niej pod maską świetnie zrobionej obojętności. (Zresztą nie sztuka mówić o tem wszystkiem nie mając problemu „życia samego w sobie" codziennie przed nosem). Niema u nas prawie pisarzy niezależnych: są pisma zależne od pewnych partyj politycznych, lub ugrupowań literackich, w których musi się pisać przeważnie dostosowując się do danego układu — inaczej „proszę iść powiesić się gdzieindziej". W ten sposób nawet młody człowiek idealistycznie nastrojony i mający „coś w brzuchu" zaczyna u wrót swej karjery literackiej obijać swe kanty, wygładzać granie i szpikulce i po paru latach tego procederu staje się bezwartościowym, jakkolwiek miłym dla przeciętnej hołotki, duchowym otoczakiem, przewracającym się składnie na boki zależnie od „potrzeb rynku" danej kliki w szerokiej rzece pisarskiej miernoty, w związku z jej chwilowemi, nieistotnemi prądami i prądzikami. „To za ostro postawiony problem — publiczność tego nie lubi; to za mądre — nikt tego nie zrozumie" — „tu jest dom publiczny, nie udawaj uczciwej kobiety"*) — „nie chwal tamtego — poco robić reklamę niewygodnemu bubkowi; tego zniszczyć za wszelką cenę — niech mu się nie zdaje, że jest wogóle kimś". Takie dyspozycje daje się krytykom po redakcjach i nic dziwnego, że jak zauważył Tadeusz Peiper, krytyka nasza stała się wielką fałszernią wartości artystycznych i literackich. Ideji niema — są one zawistnie tępione przez wszelkich bezpłodnych krytykonów, ponieważ walki idejowe w wielkim stylu odebrałyby im poprostu chleb: byliby zmuszeni zająć się jakąś inną pracą realną, do której może okazaliby się zdolniejsi: handlem, rolnictwem, hodowlą bydła (nie ludzkiego, tylko prawdziwego), czy chałupnictwem. Krytycy lubią klepać protekcjonalnie po łopatkach różne miernotki, a nawet podnosić do rozmiarów wielkich cnót ich drobne zaletki, ale stają zażenowani i nieśmiali, a potem źli i zawistni wobec wszelkich objawów przekraczających ich duchowe wymiary i zaczynają jechać, co na tle ogólnej ignorancji uchodzi im bezkarnie, bo jednak literaci nie śmieją przeważnie z nimi walczyć". Dureń bo dureń, ale od niego zależy jednak mój chleb powszedni" — powie sobie niejeden i machnie ręką. To właśnie bierne poddanie się pisarzy rozpanoszyło tak niemożliwie sforę krytyczną, że teraz trudno jej jaki taki namordnik nałożyć. Ale jest to konieczne — zorganizowana walka literatury samej ze sobą o jej pogłębienie i literatury z krytyką w celu stworzenia nowych systemów pojęć, opartych o głęboką wiedzę filozoficzną, dla nowego ujęcia literackich problemów — o ile wszystko nie ma zejść na ostatnie psy.

Mówię tu o rzeczach dość „poziomych", unikając rozmyślnie wzniosłych haseł i obietnic, a odkładając systematyczne spełnianie już wypowiedzianych gdzieindziej postulatów do następnych artykułów, rozpatrujących poszczególne zagadnienia, przyczem na początek powtórzę w rozszerzonej formie pewne rzeczy, które szkicowo traktowałem w dodatkach literackich mało komu znanej „Polski Zbrojnej". Tu chodzi mi jeszcze o dwa problemy: przyczynkarstwa i światopoglądów, jako też kwestji walki między członkami danej grupy, związanej jedną ideją ogólną.

Mam wrażenie, że rozproszkowanie idejowe i beznadziejne przyczynkarstwo naszych ludzi piszących, ma źródło swe właśnie w braku u nich wszelkich podstaw filozoficznych całej ich pisaniny. Dziś to, jutro tamto — maszyna literacka idzie ciągle pod najwyższym gazem: jest to konieczne choćby dla t. zw. chleba — czasem jest złym nałogiem jak onanizm, palenie, czy dłubanie w nosie(iluż jest u nas „pisarzy nałogowych", którychby trzeba zarejestrować i zamknąć w jakichś koncentracyjnych obozach). Pędzi sam motor wszystkomielący, często przestarzałej konstrukcji, zużyty, niremontowany oddawna, z nadającemi się do wyranżerki częściami, wali — narazie wszystko jedno czemu: chce się pisać, jak się chce żreć, spać, gwałcić itp. —potrzeba ta zdaje się być zupełnie naturalną (w wielu wypadkach tak jednak nie jest). Przypomina się ten stary gaduła góralski z Zakopanego, który powiedział jednemu z moich znajomych: „takom mom wicie mature*) do gadania, ino nie wiem co" — czy nie jest to w ścisłej analogji z nastawieniem większej części ludzi u nas piórem dłubiących? „Matura" jest bezsprzecznie, ale z treścią jest jakoś coś nie to. I rozpoczyna się pogoń za tematami. Może być to ubrane w pozory pracy społecznej, idejowej, może nawet być faktycznie taką pracą, wielce w niektórych wypadkach dla ogółu korzystną, z literackiego jednak punktu widzenia, przy rozwijającej się u nas skłonności podstawiania za literaturę wszystkiego wogóle co jest napisanem, bez względu na istotną tego, czysto literacką właśnie wartość — (granice między upadającą publicystyką, a degenerującą się literaturą zacierają się) — będzie to tylko pogonią za tematami rozswędzonego do pisania piórka, którem nie kieruje określona psychiczna struktura, oparta o określony, na szerokich podstawach filozoficznych zbudowany światopogląd, a conajwyżej uczuciowe fluktuacje, czasem nawet o bardzo szlachetnym podkładzie. Ale to jeszcze nie daje patentu do uprawiania literatury, a tembardziej krytyki.

Do tego tematu powrócę później, zaznaczając tylko, że niejasne postawienie kwestji w stosunku do tego stanu rzeczy, doprowadza też do pewnego przefałszowania wartości i powiększenia bałaganu umysłowego publiczności, która na widok tego zamięszania, jakie się dzieje na szczytach, dębieje do reszty i albo plunie na wszystko nie mogąc się nic dowiedzieć z powodu braku rozróżnień podstawowych, albo musi dojść do tworzenia własnych kryterjów i (o dziwo!) przekonać się nagle, że może *przeciętny wykładnik rozumienia pewnych kółek inteligencji* wyższy jest od najwyższych poszczególnych wykładników indywidualnych „szczytów" naszej krytykonerji.

U ludzi mających wypracowane latami światopoglądy, tematy powstają same, przez prostą rozbudowę na szerszą skalę założonych konstrukcji o silnych, wytrzymujących wszelkie nadbudowy podstawach — stanowią one pewne ciągłości, znajdujące swe źródła w całości systemu. Taki typ konstrukcyjny nie potrzebuje głowić się o czemby tu dziś napisać: o koszykarstwie w Galicji Wschodniej, czy o środkach antywenerycznych, czy o truizmach małżeńskich Russella, czy też o jakimś szczególe bijograficznym w skali mikroskopijnej jakiegoś mogoła literackiego epoki dawno minionej (tam jest jednak zawsze najbezpieczniej) — u niego tematy nie poławiają się, tylko się konstruują w związku z całą budową: taki człowiek nie ma problemu „wyprztykania się na starość" — jego potencja duchowa rośnie z wiekiem, tembardziej jeśli nie jest on zatruty nikotyną, alkoholem, czy innem jakiem narkotycznem świństwem*).

Przechodząc do punktu następnego twierdzę, że członkowie danego ugrupowania literackiego nie powinni bynajmniej oddawać się wzajemnej adoracji, a raczej pozostawać w stosunkach, do których stosowaćby się powinna definicja przyjaźni B. Shaw'a z „Majora Barbary": „przyjacielem jest ten, który drugiego utrzymuje w wysokiej marce". — tutaj w marce formy intelektualnej.

Tylko przez walkę, to jest rzeczową dyskusję, nastąpi to „przejaśnienie pojęć" (Klärung der Begriffe, pojęcie Husserla), którego tak potrzebuje nasza literatura. Kłąb walczących ze sobą duchów (w analogji do kłębka ciał) powinien wwalić się w zamierające intelektualnie społeczeństwo — może to chociaż opóźni nadchodzącą katastrofę wszech-zjełopienia i doszczętnej zatraty dobrych obyczajów (moeurs) w literaturze.

S. I. Witkiewicz.

*) Autentyczne słowa pewnego znanego pisarza, wypowiedziane w formie rady, zupełnie na serjo:

*) To znaczy: naturę, wrodzoną chęć, zdolności, talent.

*) Niedługo ukaże się moje „dziełko" o narkotykach, które każdy przeczytać musi. Autoreklama? Tak, jeśli chcecie — i to zupełnie usprawiedliwiona.

Walka sztuki ze Sztuką

Ostatnio coraz więcej się mówi o kryzysie literackim, który szerszy ogół chętnie wiąże z powszechnym kryzysem gospodarczym. Nie mam zamiaru poruszać ekonomicznych zagadnień: zależność sztuki od stopnia dobrobytu materjalnego społeczeństwa uważam za wielce problematyczną. Kryzysu literackiego, o którym tak dzisiaj głośno, nie da się też uzasadnić chwilowem osłabieniem napięcia twórczego, jest on zdaniem mojem konsekwentnym wynikiem prowadzonej od lat kilkunastu walki z intelektem i programowego rugowania ze sztuki pierwiastków metafizycznych, które są jej istotą.

Może to brzmi paradoksalnie, ale ogólnie biorąc, ostatnie dziesięciolecie naszej twórczości to walka sztuki ze Sztuką.

Niewątpliwie w naszej poezji powojennej dominującą rolę odegrała grupa „Skamandra", przedewszystkiem więc należażałoby rozpatrzeć jej działalność i dokonać na niej tak modnego dziś „odbronzowania". Niestety, zabieg ten wielce skomplikowany, wymagający dokładnej analizy dzieł utalentowanych twórców, rozsadza ramy szczupłego artykułu. Siłą więc rzeczy będę zmuszony sprecyzować w możliwie syntetycznym skrócie nie działalność poetycką naszych twórców, ale ich stosunek do poezji, któremu dali wyraz w artykule wstępnym do 1-go numeru „Skamandra" (styczeń 1920). Programem tym, stanowiącym credo artystyczne Skamandrytów, ważnym, bo noszącym wszystkie zarodki przyszłego upadku, chciałbym się zająć w niniejszym artykule. Ten manifest poetycki, odżegnujący się na wstępie od wszelkiej programowości, w dalszym ciągu nosi w sobie wszelkie cechy programu, jak: odgraniczenie się od szeregu zagadnień i wyznaczenie sobie ciasnej, ściśle sprecyzowanej roli.

„Nie możemy — piszą Skamandryci — powiedzieć dokąd idziemy i jaki jest cel podróży, ale wyznamy coś znacznie ważniejszego: skąd wychodzimy i jaką jest wiara, która wiedzie nas przez kolumbowe morza".

Zdaniem mojem dla człowieka twórczego istnieje jeden tylko punkt wyjścia: baza czystego rozumu. Punkt wyjścia niewzruszalny, bo zawierający w sobie wszystko: i cel i drogę.

„Wierzymy głęboko — czytamy dalej— w dzień dzisiejszy, którego dziećmi się wszyscy czujemy". I w tem tkwi właśnie sedno nieporozumienia, bo jeśli Chrystus dał nam Ewangelję wiary i prawdy objawionej, to od Kanta zaczyna się Ewangelja rozumu i dzień dzisiejszy, ten fetysz Skamandrytów dojrzał do tego, by chwiejne „wierzymy" przekształcić w niezłomne „WIEMY".

Czytajmy dalej: „Chcemy być poetami dnia dzisiejszego i w tem tkwi nasza wiara i cały nasz „program". Nie kusi nas kaznodziejstwo, nie pragniemy nikogo nawracać, ale chcemy zdobywać, porywać, zapalać serca ludzi, chcemy być ich uśmiechem i płaczem; chcemy być poetami, temi dziwnemi istotami, co na migotliwej powierzchni życia znajdują największe głębie, a w barwnej grze świateł, dźwięków i kształtów, widzą objawienie najbardziej niedostępnych i niewyrażalnych prawd. Obce jest nam branie na się koturnowej roli. Ale w poetyckiej naszej zwiewności i płochości chcemy być poważni i twardzi, wierząc, iż wtenczas właśnie jesteśmy najprawdziwsi, najpotrzebniejsi i niezastąpieni".

Niestety, poetami dnia dzisiejszego Skamandryci się nie stali, bo właśnie dziś już nie wystarczy zdobywać, porywać i zapalać, być „uśmiechem i płaczem ludzkim", nie wystarczy pisać o „kroplach rosy porannej", o chlebie i mleku.

U podstawy twórczości leży praca, nie cyzelowanie i kompilacja, lecz wewnętrzna praca samostwarzania się. Nie chcę być źle zrozumianym, nie wymagam od poezji rymowanych traktatów filozoficznych, które rozmijają się z celem sztuki, chcę tylko, by poeci świadomi, że „wielkość sztuki nie ujawnia się w tematach" nie poprzestawali na naturalistycznem przetwarzaniu rzeczywistości, by przestali nareszcie produkować ten bilon poetycki, który nie znajdując pokrycia w uczuciu metafizycznem, tej istocie sztuki, stał się jako „miedź brząkająca". Istotna wielkość sztuki przejawia się nie w tematach i laboratoryjnie spreparowanych kształtach, ale w stosunku naszym do Tajemnicy Istnienia t. zn. w przeżywaniu Jej jako jedności w wielości. Nietylko w świecącej kropli rosy odnajdujemy największe głębie, ale i w układach pozagalaktycznych, które w gruncie rzeczy są niemniej dziwnym fenomenem, niż jabłko lub bochenek chleba, bo i my sami i wszystko, co nas otacza, jest równie dziwnem. Lipowa łyżka, jako taka wywołuje w nas ten sam niepokój metafizyczny, co drogi mleczne. Lipowa łyżka opisana w naturalistycznym wierszu wywołuje w nas uczucie... nudy i wstrętu.

zjawisk jako wyniku mechanicznie działających sił materjalnych, mające nam wykazać, że przyroda tłumaczy się sama, bez udziału sił leżących poza zasięgiem nauk matematyczno - przyrodniczych, przez stopniowe, analityczne rozwiązywanie zagadek, zawsze doprowadza ludzkość do zagadnienia najbardziej istotnego: czem jest Tajemnica Istnienia. I tu w całej pełni ukazuje się bezsilność dotychczasowej nauki i psychologicznego stanowiska w stosunku do uczuć metafizycznych.

Tymczasem brak twórczego i rozumowo określonego stosunku do rzeczywistości zapędził Skamandrytów właśnie w tę matnię analitycznego, freudowskiego psychologizmu, który znalazł swój wyraz w ostatnich latach na łamach „Wiadomości Literackich".

Dziś pochłonięci „bronzowaniem" Boya, miotaniem inwektyw (t. zw. polemika literacka) i najazdami na filozofję, która jedyna może właśnie wyprowadzić tak ich, jak całe społeczeństwo z gnuśnego bezwładu — nie są już zdolni do poważnego wysiłku twórczego.

„Obce jest nam branie na się koturnowej roli" — pisali poeci Skamandryci, zapominając, że koturnów i szczudeł używają ludzie niscy, aby tym sztucznym sposobem podnieść swój wzrost. Prawdziwy poeta dnia dzisiejszego, któremu koturny są równie wstrętne, co tchórzliwe wyznaczenie ciasnych granic swojej sztuce — zerwie je i wsparty na żelaznym fundamencie filozofji, dojdzie do granic przestrzeni i czasu, „tam gdzie graniczy Stwórca i natura".

Ci, którym dobro sztuki polskiej leży na sercu, powinni conajrychlej przeprowadzić odbronzowanie naszych „ci - devant genjuszy wieku", nie wyłączając z pośród nich autora „Bronzowników". Mam poważne obawy, że z pod zwałów spiżu wyłonią się tęgie łysiny gipsu.

Nie chcę być źle zrozumianym, nie neguję niewątpliwych zasług Boy'a przedewszystkiem na polu przekładów z literatury francuskiej, nie piszę, że Tuwim jest złym poetą, stwierdzam tylko, że atmosfera antyintelektualizmu i groszoróbstwa, która niemal wszechwładnie zapanowała na naszym Parnasie, wywiera destrukcyjny wpływ nietylko na społeczeństwo, ale i na samych twórców. Że toczeni relatywizmem i przesyceni jakimś freudowskim ekstraktem są jak ci mieszczanie w pięknym wierszu Tuwima, którzy:

—patrząc, widzą wszystko oddzielnie
że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...
że niezdolni do syntezy, nie widzą jak otspełniają się czasy.

Bolesław Miciński.

„Nie powinienem dać w siebie wmówić, że tego rodzaju krytyka jak moja, jak ta, do której jestem zdolny, nie ma racji bytu. Moja krytyka wyrasta z filozofji, jest przedewszystkiem i bardziej, niż czemkolwiek innem metodą filozoficzną. Nie filozofja metodą krytyki literackiej, lecz krytyka metodą filozofji. Kto rozumie moje stanowisko filozoficzne, nie może być zdumiony. Krytyka wciąga do współpracy właśnie historycznie ukształtowane życie ludzkości.

Stanisław Brzozowski: „Pamiętnik".

A więc zaczynamy...

Gdy mówimy o konieczności rewizji dotychczasowego stosunku literatury polskiej do całego szeregu przemilczanych i prześlepianych spraw zasadniczych, gdy pada hasło przebudowy od podstaw całej polskiej kultury duchowej — zagadnienie dobrej, twórczej krytyki wysuwa się nieomal na plan pierwszy. Krytyka polska jest w złej formie, jej koryfeusze winni są w dużej mierze temu „marszowi w próżnię“; jaki odbyła literatura polska ostatnich kilku lat. Twórcza krytyka orjentuje się szybko, obejmuje okiem całokształt zjawisk estetycznych wraz z podłożem epoki, na którem one wyrosły. Sygnalizuje degrengoladę, zanik prężności duchowej pokolenia: broni nieustępliwie wysokich wartości ideowych. Grozi i chłoszcze, analizuje i wyprowadza ogólne wnioski. Wreszcie, gdy poczucie odpowiedzialności u twórców zanika, sama bierze na siebie ciężar walki, elektryzuje młode pokolenie, próbując natchnąć szlachetną ambicją nieskrystalizowane jeszcze, mgławicowe talenty.

Ale na to trzeba krytyków dużej miary o dojrzałych poglądach filozoficznych, o pasji i dynamice, równej np. Brzozowskiemu. Krytyków nietylko oczytanych, nietylko sprawnych intelektualnie, ale i o zdecydowanej postawie w zakresie teorji estetyki. Ludzi takich właściwe dzisiaj nie mamy. W krytyce dominuje nastrojowość, zależność towarzyska i partyjna, wreszcie — co najgorsze — zupełna dowolność sądów. Ten ostatni zarzut dotyczy nawet kilku najrzetelniejszych, tych, którzy dbają o niezależność i objektywizm.

Brak wykształcenia ogólnego jest powszechny, zarówno u inteligencji polskiej, jak u pisarzy i krytyków. Zadziwia lekkomyślność i zarozumiała pośpieszność sądów w dziedzinach, wymagających postawy conajmniej ostrożnej. Zwłaszcza sztuka — podobnie zresztą jak filozofja — jest tą, o której najbezczelniej wyrokują niepowołani. Trzeba się znać na buchalterji, na administracji, na elektrotechnice, aby wygłaszać opinje o tych rzeczach: laicy nie rozprawiają o nich z druzgocącą pewnością siebie, wiedzą, że byliby wyśmiani. Natomiast o filozofji, o religji i o sztuce plecie trzy po trzy każdy, choć to są tereny, po których najtęższe nawet umysły poruszają się z trudem.

W Polsce panuje — rzec można — indyferentyzm filozoficzny, religijny i estetyczny. Przeciętny inteligent, a nawet pisarz polski wyraża sąd o filozofach z pobłażliwą wyższością, o dogmatach i samej istocie religji niema najmniejszego pojęcia (trzeba piętnować kłamstwo o głębokiej religijności Polaków, bo jest to etykieta, łudzący szyldzik — te sprawy w gruncie rzeczy mało kogo obchodzą), zaś w ocenie piękna powoduje się ślepem, prymitywnem upodobaniem, opartem na zwykłem widzimisię.

Wszystko to świadczy o płyciźnie intelektualnej, o zaściankowej atmosferze, o powierzchownem ślizganiu się po najistotniejszych dla myślącego człowieka problemach. Należy stwierdzić zanik jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności za ten stan rzeczy u dominujących klik literackich, u twórców zarówno jak u krytyków. Niema dziś w Polsce czynnika, któryby czuwał, budził ospałych, przyspieszał tętno ruchu umysłowego, wszczynał dyskusję na poważne tematy. Niema nikogo, ktoby zajął świadomy stosunek do palących problemów kulturalnych Polski powojennej i żądał utrzymania się w intelektualnej formie, w wysokiej klasie estetycznej.

„Wiadomości Literackie“ — powiedzmy to sobie otwarcie — nie spełniają tej roli. Bezwątpienia dobre i to, gdy niema innej, poważniej pojmującej swe obowiązki placówki. Ale sąd o całokształcie działalności tej grupy, z perspektywy dziesięciolecia, musi wypaść bardzo surowo. Nie mówimy tu o przygodnych współpracownikach tego pisma, lecz o tych, którzy stanowią jego rdzeń, mętny wprawdzie i zakonspirowany, tem niemniej jednak rzeczywisty. Nie spełnia tej roli ani kierownik handlowy tego przedsiębiorstwa, ani też jego „czujny“ kronikarz tygodniowy, który terroryzuje opinję publiczną rzekomą „nieubłaganą postawą“ w krytyce, będącej niczem innem, jak zaszczuwaniem i zastraszaniem biednych niebożątek literackich, niesłusznie kłaniających się w pas tego rodzaju autorytetom. Argumenty i oceny krytyczne p. Słonimskiego nie są bowiem poparte żadnym sprecyzowanym światopoglądem, żadną dyscypliną intelektualną, żadnym wreszcie sprawdzianem w zakresie elementarnej estetyki. Śmiesznem jest mówić o estetycznych kryterjach tam, gdzie ocena polega na ziewającem: „nie podoba mi się“, lub na programowem „wygwizdywaniu“. Sądzimy, że nie powinno nikogo obchodzić, co się temu człowiekowi podoba, a co w jego mniemaniu jest brzydkie. Nieumotywowane opinje i wykrzykniki (plus nieprzyzwoite wyrazy) dopuszczalne są na wiecu, ale nie w czasopiśmie urabiającem poglądy i sposób myślenia inteligencji polskiej.

Trzy są dziś symbole, albo raczej skróty „ideologiczne“ obozu (excusez le mot) „Wiad. Lit.“: Pierwszy — to Boy: chorobliwy szperacz za ciekawostką seksualną w zakątkach życia wielkich ludzi; drugi, to „pogromca Thalesów“, ignorant filozoficzny Winawer; trzeci wreszcie, to „sam“ Słonimski, którego jedno z pism warszawskich nazwało dowcipnie „człowiekiem, który połknął gwizdawkę“. Z poza tej trójki (p. Krzywickiej nie chcemy robić zaszczytu) wyłania się... nie twarz człowieka, ale maska upiora kultury polskiej: inkarnowanego chochoła, który przygrywa na cienką, bezpłciową nutę parom kręcącym się w atmosferze kadzidlanej adoracji „w wyboistym skamandrowym zaścianku“ (jak pisze p. J. Braun w artykule „Twarz człowieka“ w n-rze 6-ym „Gazety Lit.“):

Ale spuśćmy wstydliwą zasłonę na „Wiadomości Literackie“. One wprawdzie ponoszą tu największą winę, bo na nich, jako na jedynem, reprezentacyjnem czasopiśmie literackiem — spoczywał dotąd obowiązek inicjatywy twórczej, wbijania pionu orjentacyjnego dla wszystkich pozytywnych poczynań w Polsce współczesnej. Ale nie wolno od nich wymagać zbyt wiele, surowość sądu przykroić trzeba na miarę ich własnych aspiracyj. A te są nader ubogie. Tam poprostu podaje się towar, dbając o to, by był w dobrym gatunku i zaspakajał jako tako zapotrzebowanie klientów. Chyłkiem przemyca się także pewne negatywne i destrukcyjne prądy i prądziki, zgodne z mentalnością dominujących tam elementów. I to jest wszystko.

Winę ponoszą tu — i może w większej jeszcze skali — inne pisma, inni krytycy i pisarze, którzy zamiast wypełnić żałosną lukę, dostrajają swój ton do chochołowych skrzypek. Winna jest prasa codzienna, w której poszczególnych organach usadowili się przecież różni ludzie, niezwiązani bliżej z tamtym obozem. Mają i oni swoje szańce, swoje pozycje wypadowe, trybuny i głośniki. Jeśli nie stać ich było na poryw organizacyjny, na zmontowanie wspólnej akcji, obowiązkiem ich było zabierać głos pojedyńczo. Do odważnych przyłączyliby się inni. Ale tu stanęła na przeszkodzie tchórzliwość i bierność, brak cywilnej odwagi, lenistwo umysłowe, względy handlowo-towarzyskie.

A mogli pisać śmiało, bo prawie każdy z nich ma obrońcę, możnego protektora w postaci sympatyzującej z nim partji politycznej. Nie istnieje natomiast stronnictwo dobrej woli i rozumu, stronnictwo zdrowia społecznego i interesu narodowego, któreby poparło całą swoją energją ludzi nowych i niezależnych, ludzi, występujących śmiało do walki wprost o dobro i jutro naszej kultury, o ducha Polski, o wielkie wszechludzkie ideały.

Niema go dotąd. Mimo to decydujemy się na rozgrywkę. Wierzymy, że stronnictwo takie powstanie, żywiołowo i spontanicznie. Odwołujemy się, w walce o nasze postulaty, do zdrowego sądu i do instynktu samozachowawczego społeczeństwa polskiego, do wszystkich ludzi dobrej woli. Tembardziej, że inicjatywa nasza nie jest wynikiem przypadku, ryzykanckiej brawury. Wiemy dobrze, że wypływa ona z ducha epoki, z potrzeb i niezaspokojonych pragnień miljonowej rzeszy obywateli. Wiemy, że stoi za nami silny blok pisarzy, krytyków i intelektualistów — formalnie może nie ustanowiony jeszcze — ale potencjalnie już istniejący i scementowany wspólnem poczuciem odpowiedzialności, kierunkiem wspólnych dążeń. Wiemy, że tysiące ludzi, tych szarych konsumentów sztuki — myśli podobnie jak my. Ludzi tych nie obchodzą wcale perypetje zakulisowe literatów, ich dochody i nagrody. Chcieliby oni natomiast widzieć współudział twórców i pisarzy w ich jędrnem, rzeczywistem życiu, w realizacji tęsknot społecznych, w kształtowaniu kultury. Chcieliby widzieć w nich pionierów i przedstawicieli wielkiego i niespożytego genjuszu narodowego, ludzi wyostrzonego intelektu, hartownych nerwów, świadomej woli. Chcieliby usłyszeć, co sądzą oni o epoce i o człowieku, o ludzkości i jej żywotnych problemach, o zasadach moralnych, o Bogu, o sensie istnienia. Interesują ich nowe poczynania, pęd twórczy, śmiałe ideje, światopoglądy. Chcą sami oddychać wichrem tych poruszających umysły prądów duchowych i idej.

Narzeka się u nas na niski stan czytelnictwa, na brak frekwencji w teatrach, na wieczorach poetyckich i odczytach. Jest w tem dużo gorzkiej prawdy. Ale trzeba stwierdzić, że literatura i krytyka ponosi tu lwią część winy. Nie schlebianiem urabia się publiczność na konsumenta dzieł sztuki, zdobywa czytelnika. Trzeba właśnie iść przeciw fali, młotem i dłutem rzeźbić oblicze tej luźnej, bezkształtnej masy, trzeba dawać jej mocne bodźce, iść do niej z żywem słowem, z dyskusją na temat ogólnych, aktualnych współcześnie problemów. Literatura jest jałowa. To samo odnosi się i do pism literackich. Publiczność nie widzi w nich nic atrakcyjnego, w dobrem znaczeniu tego słowa, żadnej łączności z duchem epoki.

Trzeba podźwignąć poziom, wywołać maksymalne napięcie wszystkich intelektualnych i twórczych sił w Polsce. Trzeba nadać ruch, tempo, dymamikę. Zesztywniałe umysły muszą nabrać sprężystości, łatwości w operowaniu pojęciami, precyzji w wyrażaniu poglądów. Musi nastąpić praca, i jeszcze raz praca. Polskę czekają w niedalekiej przyszłości olbrzymie zadania kulturalne, a może nawet historyczne. Wesołkowie i rezonerzy z Ziemiańskiej nie stoją na wysokości tych zadań, ani w 5%-ach. Trzeba gwałtownej, natychmiastowej przemiany, aby chwila dziejowa nie zastała nas nieprzygotowanych.

Koniecznem jest przejść do porządku dziennego nad pierwszym, powojennym okresem kultury i literatury polskiej, zamknąć tę kartę i przeprowadzić twardy, bezlitosny rachunek sumienia. Koniecznem jest obrać nowy punkt wyjścia i nakreślić celowy, pozytywny plan działania. Trzeba przeorać psychikę społeczeństwa i dać pisarzom i krytykom nowe bodźce twórcze, nowe kryterja. Trzeba przemyśleć gruntownie podstawowe zagadnienia, zgrupować ludzi, pchnąć wszystkie rozstrzelone wysiłki we wspólne łożysko. Niezbędne są śmiałe pisma, placówki kulturalne, cykle odczytów i dyskusje. W ruch taki wciągnąćby należało nietylko koła intelektualne i literackie, ale całą publiczność.

Na pierwszy ogień pójść musi problemat krytyki. Od tych, którzy piszą i mówią o filozofji, religji, sztuce — musimy żądać nieubłaganie jasno określonych stanowisk, istotnych kryterjów. To powołuje postulat wykształcenia teoretycznego, źródłowego opracowania podstaw teorji estetyki, analizy samego aktu twórczego, oraz elementów dzieła sztuki, oczywiście na całej przestrzeni fenomenów estetycznych, zarówno w powieści, dramacie i poezji, jak w plastyce i muzyce.

Pracę taką podjąć musimy. I podejmiemy...

O cel widowiska scenicznego

Dotychczasowe zdobycze teatru polskiego stworzyły fundament pod metody pracy nad rolą aktora, metody pracy zespołowej i zasadnicze podejścia do inscenizacji utworów. Teraz następuje chwila, w której winno się zwrócić uwagę na centralne zagadnienie istoty teatru i w parze z tem idącego kierunku rozwoju.

Nie chciałbym tu autorytatywnie rozstrzygać tej kwestji, chciałbym jedynie wskazać na niewątpliwie ważne przyczynki do bliższego określenia fundamentów teatru i płynących z tego imperatywów jego prac. Sądzę, że te rozważania będą odskocznią do dalszej na ten temat dyskusji.

Jedni podkreślają jako najistotniejszy w teatrze czynnik, (jak wogóle w sztuce), rytm. Rytm zawarty w słowie, muzyce, geście, dekoracyjnej koncepcji przestrzeni, czy konstruowanej, czy świetlnej, czy wreszcie w ornamentyce scenicznej. Inni jak np. znany teoretyk teatru Julius Bab widzi odczuwalność człowieka teatralną „gdy wola jego rozwijając namiętności objawi się w zewnętrznem działaniu“. A więc element walki, który decyduje o sile powodzenia widowisk sportowych. Energja, ruch, walka, tak silne w duszy człowieka współczesnego, dopominają się o swój wyraz w każdym ogniwie sztuki. Zdecydowany triumf energji życia intensywnego, charakteryzującego współczesność, a zwłaszcza jego kondensację, sport, w dziedzinie teatru byłby jednocześnie triumfem pierwiastka męskości, pierwiastka wysiłku i heroizmu, nad pierwiastkiem zabawy, rozrywki, nad pierwiastkiem spokojnej i umiarkowanej gry, stonowanych falowań przyciszonych sił i namiętności. Oznaczałoby to zmianę stosunku do pierwiastka erotycznego, eliminowania płynących z niego uczuć, niszczącego wszelki dynamizm „liryzmu“, osłabiającego mechanizm widowiskowy dzieła. Byłby to triumf pierwiastka męskości, jak u ludów pierwotnych, gdzie taniec, rodziciel teatru, jest nieomal wyłącznie rzeczą mężczyzn, jako wybuch ich energji życiowej, ekstaza religijna lub szał bojowy.

Istotność elementu walki zaczął odczuwać teatr współczesny już w okresie naturalizmu, wyrażając to przez sztuki tendencyjno - społeczne, co w ostatecznej swej konsekwencji doprowadziło do czysto tendencyjnych, propagandowych nieomal sztuk współczesnej Rosji i Niemiec. Jest to jednak zbyt płytka próba zaspokojenia tej, tak ciekawej potrzeby ducha ludzkiego. Pomija bowiem ona drugi istotny składnik, objawiający się w każdej dziedzinie sztuki, jakiś kompleks uczuć, wnoszących dodatni nastrój do naszego organizmu, pewien wypływ naszych podświadomych tęsknot, pragnień i marzeń. Dwa te kompleksy nie mają nic wspólnego z podziałami gatunków literackich, co słusznie wspomina Plato w djalogu „Eros“. „Sprawą tego samego męża jest pisanie tragedji i komedji“. Kompleks walki, niepokoju, przykrości, smutku, bólu, obok pierwiastka bezwolnego wypływu uczuć i marzeń podświadomych, źródeł dodatniego samopoczucia, a nawet radości, — tkwi w każdej dojrzałej formie teatralnej, a właściwie i we wszystkich dziedzinach twórczych sztuki.

Dwie te fundamentalne podstawy przeżyć artystycznych teatralnych jak wykazuje Jules Gaultier (La sensibilitè metaphysique 1928) są pierwotnymi składnikami myśli ludzkiej. W ogólności myśli, czy ją weźmiemy jako twórcę świata zewnętrznego, czy jako zwierciadło dążącej do wiekuistej przemiany siebie w formy oglądalne.

U podstawy duszy ludzkiej leży to co łączy dwa aspekty Szopenhauerowskie: 1) wola (chęć) 2) wyobrażenia. Siła naszego zmysłu oglądania, źródło naszej nieustannej ciekawości i poznania. Choćby drobna doza tej chęci pozwala nam patrzeć na świat, ujęty jakby w wyższą formę realności obrazów, niż ta, która mu przynosi bóle i nieszczęścia, budzi w nim podświadome poczucie, że to on jest twórcą tych obrazów. Jednocześnie człowiek, chcąc ogarnąć świat, szuka w nim pewnych analogij, które nieraz szeregowane czasowo, nazywając się miarowością, rytmem, drganiem, falowaniem, promieniowaniem, ciągłością, umniejszają siłę rozróżniającą intelektu i upraszczają analogje w podobieństwa, a nawet w identyczności. To w istocie swej twórcze identyfikowanie formy pozwala na swobodny, nieznajdujący przeszkód w świecie poznania woli, wypływ naszych uczuć, aż do zupełnego niemal bezwolnego poddania się pozornemu rytmowi rzeczywistości. Im jednak wyższe jest dane indywiduum intelektualnie, tem trudniej znajduje ową kojarzącą „powtarzalność“ w świecie, wśród bólu, walk wewnętrznych, wyzwala się ku niosącemu zadowolenie, uczuciowemu roztapianiu się w pozornych rytmach świata. Człowiek pierwotny bardzo łatwo wytwarza pewne formy miarowe, pozwalające mu na uczucie współżycia z przyrodą, czy to w geście, czy słowie, czy twórczości plastycznej, czy czystej grze wyobraźni, — pozbawiony wyższych kryterjów intelektu nie wznosi się jednak ponad pewną linję dostępnej doskonałości. Człowiek cywilizowany posiada różnorodne hamulce intelektualne i obyczajowe, unicestwiające częstokroć zdolność wytworzenia w sobie form „quasi“ miarowych, wytworzenia przeżycia współczesności z naturą i zdolności wylewu swych prainstynktów, w oczyszczonych, udoskonalonych, wyższych, niż u człowieka pierwotnego, formach.

Stoją więc przed współczesnym człowiekiem dwa zagadnienia: 1) stawianie w całem swem skomplikowaniu, trudności jakie wysuwa aktualnie dla nas intelekt i walka z temi trudnościami by znaleść dla kompleksów emocjonalno - instyktownych ujście w coraz wyższych sublimowanych formach jakie na innym biegunie widzimy w procesie poznawczym u mistyków; 2) przełamanie hamulców intelektualno - woluntarnych, a także mechanistycznych, celem dotarcia do adekwatywnych, odpowiadających jego poziomowi kulturalnemu form miarowych (rytmu, proporcji, analogji itd.).

Teatr nie powinien więc upraszczać zagadnień np. przez mechanizację gestów, gry i słowa, ale stawiać je w całej rozciągłości, przemyśleć skrupulatnie wszystkie zasadnicze swe składniki (słowo i gest, muzyka, plastyka sceniczna itd.), przez skrupulatną analizę intelektualną wydobywać coraz to inne ich właściwości oraz wzajemne stosunki. Z drugiej strony rozpocząć walkę o upust dla tkwiących w naszej podświadomości pragnień, żądz; marzeń, namiętności — znajdując im proporcjonalne (wyrażenie to nieścisłe!) do zwalczonych trudności intelektualnych, formy miarowe.

W związku z tworzeniem form miarowych, pozostaje wiekuiste ogólnoludzkie pragnienie połączenia ich z t. zw. rytmem przyrody, przedewszystkiem jej życia organicznego, a w szczególności rytmów fizjologicznych immanentnie tkwiących w ludzkiem ciele. Na przeszkodzie staje tu narzucony na drodze czysto intelektualnej i dziś jeszcze zautomatyzowany zmysł sztucznego „zegarowego“ czasu; a jeszcze więcej rytm mechanistyczny współczesności. Mechanistyczny świat wytworzony przez człowieka jak narazie poza życiem organicznej części przyrody, nie może dać już owej odprężającej nasze uczucia formy miarowej, zachowuje się jak obce ciała w organiźmie żywym, co zresztą widać i w jego destrukcyjnym działaniu socjalno-ekonomicznem. Czas znów „zegarowy“ bezpośrednio nie ingeruje z całą ścisłością w teatrze, ale zawarty jest w przybliżeniu w takcie muzycznym i rytmicznym ruchów tanecznych itd. Żywe jednak słowo i gest znajdują swoiste miary, nawet przy dzisiejszym upadku teatru, jakoś samorodnie, na ślepo.

Istotność tych miar można wykazać przy szczegółowej analizie. Stoją one w analogji z wrażeniowym światem przyrody, a jako bogatsze i podatniejsze do różnorodnych asocjacyj i kombinacyj formalnych, muszą zwyciężyć zbyt mechanistycznie pojęte kryterja taktu i ruchu taneczno - gestycznego.

W ostatecznem więc sformułowaniu, zadaniem teatru jest: 1) artystyczna, z całą namiętnością i energją przeprowadzona walka formotwórcza, z napiętrzonemi przez intelekt problemami, 2) szukanie analogij miarowych we wszystkich sposobach objawienia się jego formy (dźwiękowych, ruchowych, plastycznych), wzmożenie działalności intelektualnej w tej dziedzinie, bo im intelekt będzie doskonalszy, tem doskonalsza będzie wytworzona forma, 3) wreszcie rozpoczęcie skrupulatnego oczyszczania sztuki z pojęć narzuconych przez uprzemysłowienie współczesności.

Tadeusz Dobrowolski.

RAINER MARIA RILKE

Z „Księgi godzin“

Zgaś moje oczy: ja Cię widzieć mogę,
uszy zatrzaśnij: ja Ciebie usłyszę —
i ja do Ciebie bez nóg znajdę drogę
i bez ust krzyk mój cisnę w Twoją ciszę.
Ręce mi odrąb, a ja Cię pochwycę,
ja Cię pochwycę sercem jak ramieniem,
zawrzyj mi serce: mózgiem Cię zdobędę,
a skoro mózg mi wypalisz płomieniem,
ja na krwi mojej Ciebie nosić będę.
Przed Tobą dusza moja jak niewiasta.
I jest jak Rut, jak synowa Noemi.
W dzień chodzi w znoju daleko od miasta
jak robotnica z snopami Twojemi.
Ale wieczorem, gdy skończone żniwa,
wykąpie się i piękny strój nakłada,
idzie do Ciebie, gdy cisza zapada,
przychodzi i u Twoich stóp nakrywa.
Gdy o północy pytasz ją, powiada
z wielką prostotą: jestem Rut, służebna.
Rozpostrzyj skrzydła nad mą szatą zgrzebną.
Ty jesteś dziedzic...
I moja dusza potem śpi do rana
u nóg Twych leżąc, Twoją krwią ogrzana.
I jest niewiastą. Jest jak Rut.

*

Skarbie, głęboko Cię kopię noc całą.
Wszystkie nadmiary, com widział, są bowiem
przy Twojem Pięknie nędzą i pustkowiem,
Pięknie, co nigdy jeszcze się nie stało.
Lecz do Cię droga jest długa straszliwie,
a że nikt dawno nie szedł nią, zawiana.
O, Tyś samotny. Tyś samotność sama,
krok serca ku odległych dolin niwie.
I obie ręce, całe zakrwawione
tą pracą, wznoszę na wiatr roztworzone —
i rozrastają się, podobne drzewu.
I Ciebie niemi wysysam z przestrzeni,
jak gdybyś kiedyś rozbił się wśród cieni
w zniecierpliwionym jakimś geście gniewu,
a teraz spadał, rozpylony świat,
z odległych gwiazd napowrót znów ku ziemi
słodko jak deszcz, co wiosną spadł.

Aut. przekł. **Witolda Hulewicza.**

JERZY BRAUN.

Błękitne stopy

Ten wiersz który napiszę będzie cichy.
W odrętwiałem milczeniu osowiały zamruga.
Trudno się przedrzeć i posłyszeć przez wicher.
To będzie drugi podstęp i próba druga,
— nauczyłem się zdradliwie jak sęp czyhać.
Mój nastawiony potrzask jest jedwabny jak księżyc.
Mgliste światło wydziela jak topiel bezdenna,
I musiał by się teraz Ktoś bardzo natężyć,
by dostrzec i ominąć tę pętlę nasenną,
nim Mu nagłym uściskiem na stopach zacięży.
A Ten kogo ja łowię ma błękitne stopy,
i stąpaniem czaruje i pląsaniem durzy.
Gdy posłyszysz o zmierzchu ten dławiący łopot,
to On niebo jak żagiel w ciemnościach zanurzy!
i biegnie i na łąkach gwiazdy wiąże w snopy.
Czujny jest jak chart srebrny i słuch ma gazeli,
wszlifowali Mu słońca do oczu Anieli,
ale i On się czasem przeciągle zaduma
nad swoim dobrym Synem, co umyślnie umarł.
Wtedy można się skradać z za chmury ku Niemu,
mając aksamit w palcach i pętlę w oddechu
i zajść Go niespodzianie na cięciwie ziemi,
gdy wciąż w nieprzeniknionym spoczywa uśmiechu,
nim swoją nieokreślność otrząsnął i przemógł.
I wtedy choć jarzący jest straszny i tnący
i choć jak oszczep razi Jego przemoc skryta
uwięzić, osnuć stopy w sandałach ze słońca
i gardłem zaniemówić, a sercem zapytać
i chwytać jak gołębia w sidła i napierać
aż wyda tajemnicę, z której się umiera.

Hoene-Wroński o wieku XX-ym

1) Nie istnieje dziś, ani w systemie religijnym, ani w systemie politycznym, ani nawet w systemie filozoficznym żadna prawda podstawowa, któraby była stwierdzona powszechnie.

2) Z tego wynika obecne ogólne pomieszanie idej; pomieszanie, które jest i będzie jeszcze długo przyczyną nieustannych rewolucyj ladów cywilizowanych.

3) Z tego wypływa równocześnie niemożliwość położenia obecnie kresu, zapomocą ***rozumu****, wstrząsom rewolucyjnym;* ***albo****wiem, podług pierwszego z niniejszych stwierdzeń, żaden człowiek nie posiada dziś* ***prawd powszechnych****, które* ***miałyby*** *wagę* ***dla wszystkich stronnictw.***

4) Doświadczenie potwierdza tę bezsilność rozumową. W istocie, za wyjątkiem dyktatury wojskowej, która nie jest trwałą racją, najzdolniejsi mężowie stanu — których dziś jest tak wielu — nie mogą znaleźć żadnego zbawiennego środka dla zakończenia zgubnego wrzenia politycznego.

5) Pierwsza przyczyna tego nieładu powszechnego polega na tem, że ludzkość na obecnym szczeblu swego historycznego rozwoju, przeczuwa mglisto nowe problemy we wszystkich rzędach swego istnienia (w rzędzie politycznym, religijnym, ekonomicznym i filozoficznym), ale nikt nie umie ich określić.

6) Z czego wynika, że kres obecnego nieładu powszechnego nie nastąpi, dopóki te nowe problemy ludzkości współczesnej nie zostaną przedewszystkiem dobrze określone, a następnie dostatecznie rozwiązane.

7) Należy więc, w tej krytycznej epoce ludzkości, dla doprowadzenia do pomyślnego zakończenia, t. j. do trwałego ładu społecznego, odkryć prawdy absolutne przekraczające te, które ludzie już posiadają i które jak to stwierdza doświadczenie, są niewystarczające dla zaspokojenia ich wzniosłych dążeń obecnych.

8) Pojmuje się więc, dlaczego ustawiczne wysiłki, podejmowane dla przywrócenia ładu społecznego zapomocą niezliczonych kombinacyj prawd znanych, nie dają absolutnie żadnego wyniku — i dlaczego również wysiłki, które czynią liczne ludy ujarzmione dla odzyskania swej niezależności narodowej, w zakresie tych prawd znanych, są i będą zawsze bezskuteczne.

9) Jednakże, jakież jest kryterjum, które pozwoli nam odróżnić i rozpoznać pośród prawd nowych te, od których zależy obecnie ratunek ludzkości, pośród licznych utopij, które się dziś ukazują i których tworzenie się świadczy o nowych potrzebach współczesnych świata cywilizowanego?

10) Otóż kryterjum to polega wyraźnie na tem, że nowe prawdy, które są teraz konieczne dla oświecenia świata, muszą wypływać z zasad wyższych niż te, z których pochodzą nasze poznania współczesne, to znaczy, że muszą wypływać z zasad absolutnych.

Józef Hoene - Wroński: „Dernier appel aux hommes superieurs de tous les pays".

BOLESŁAW MICIŃSKI.

Z Psałterza Salomonowego

Rano gwiazdy spadają cicho w czarne stawy
Jak płatki wiatrem rozkołysanej jabłoni!
Księżyc płynie po niebie zielonem jak trawa
Jak pieniądz rzucony w morze — tonie

W południe wóz zwożący zboże
Ugina słoneczne resory, kołysze się na zakrętach
Spiętrzone białe chmury płyną niebieskiem morzem
Jak ciężko ładowne okręty

W polu gdzie jabłoń samotna rzuca niebieskie cienie
I złotą sypką falą płyną ciężkie kłosy
Zmęczona śmierć usiadła na kamieniu
Powoluteńko ostrzy kosę

Wiatr cicho świszcze w jej pustych oczodołach
W spróchniałej czaszce śpiewa jako w pękniętej fletni
Idę — choć nikt mnie nie woła
Dysze złocistym kurzem zmęczony dzień letni

Wieczorem z czarnej wody wyłazi zimny księżyc
Oblepiony zieloną rzęsą
Łamie czarne wilgotne gałęzie
I jak łódź rybacka na połów wypływa na niebo wklęsłe

Zanurza gwiezdny więcierz w siną i mroźną otchłań
Z pluskiem opadły sieci w noc jak w topiel jeziora czarną
Płynie ziemia jak srebrna płotka
Zamknięta w kosmicznem akwarjum

Wystawa w I. P. S.

W nowym lokalu Instytutu Propagandy Sztuki otwarto w lutym b. r. wystawę najstarszego zrzeszenia artystów, a mianowicie krakowskiego towarzystwa art. plastyków „Sztuka".

Założone u schyłku zeszłego stulecia stowarzyszenie odegrało niepospolitą rolę w dziejach polskiej kultury, licząc w szeregu członków i założycieli ludzi tej miary, co Wyspiański i inni.

Obecna wystawa stowarzyszenia 95-ta z rzędu, obejmuje retrospektywny pokaz dzieł Dunikowskiego, bieżącą wystawę prac malarskich pozostałych członków towarzystwa oraz pośmiertną Edwarda Trojanowskiego.

Xawery Dunikowski, wielki artysta i niezaprzeczenie największy polski rzeźbiarz, imponuje ogromem swego artystycznego dorobku i zmusza do entuzjazmu nawet tak objektywnego widza, jakim jest z obowiązku recenzent. Dunikowski, jak wszyscy członkowie „Sztuki", wyszedł z impresjonizmu (o ile o takim mówić można w rzeźbie). Zbyt silny indywidualnie, by módz się wtłoczyć w ramy jakiegokolwiek kierunku, przetrawił go i przekroczył, tak samo zresztą, jak później kubizm. Przeżył analizę, by dojść do nieposzlakowanej syntezy swoich dzieł ostatnich.

„Fatum' o reminiscencjach jeszcze secesyjnych, Rodin'owskie conieco „kobiety brzemienne", kilka kompozycyj potrącających o idee kubizmu („Bolszewik", „Rapsod' etc.) i najdojrzalsze nareszcie, przepiękne portrety i „głowy wawelskie" — ilustrują najwyraźniej powyżej określony stosunek artysty do zagadnień sztuki.

Portret jest u Dunikowskiego najindywidualniejszą częścią twórczości i jako taki — najdoskonalszą. Nieprawdopodobnie proste w formie, nieraz deformacji, jego głowy wzbudzają podziw dla artysty, umiejącego tak bezwzględnie z pośród balastu szczegółów wydobywać prawdziwe oblicze jednostki.

Z materjałów najszlachetniej operuje Dunikowski drzewem.

Kolor, rzecz zdawałoby się w rzeźbie drugoplanowa, jest dla niego kwestją, której poświęca wiele uwagi. Stosuje go z rzadko spotykanem mistrzostwem i smakiem. Nawet dla polichromji, tej tak często spornej kwestji rzeźbiarskiej, zdobywa doskonałością osiągniętego wyniku pełną rację bytu. (Zob. portrety amerykanek, portret kobiety w czarnej sukni, głowy wawelskie, cykl w drzewie).

Dział malarski przedstawia się z małymi wyjątkami bez porównania słabiej.

Piętno impresjonizmu, czy raczej już postimpresjonizmu, jak to wyżej zostało nadmienione, ciąży na całej grupie wystawców, u nikogo jednak tak, jak u Dunikowskiego nie stało się to formą przejściową, u wszystkich jest sztandarem.

Najlepszymi obrazami na wystawie są prace Olgi Boznańskiej. Utrzymane w dyskretnych szarościach przykuwają uwagę dojrzałością faktury i świetnem opanowaniem formy, tembardziej frapującem, że przeprowadzonem w tej właśnie technice, tak zdecydowanie impresjonistycznej.

Wojciech Weiss reprezentowany kolekcją kilkunastu obrazów dał ładny akt i bardzo wytworny pejzarz z mdławo przeświecającem słońcem w mglisty dzień. Reszta nieciekawa, mimo wysokiej, jak zwykle, klasy w technice i smaku.

Kazimierz Sichulski indywidualny w kolorze i fakturze, dał dobre studjum plenerowe (autoportret) i ciekawe pejzarze (potok górski i Czeremosz).

Duża kompozycja batalistyczna „Warna', obraz znacznie słabszy od pejzarzy, nieskomplikowany w rytmie i barwie, zawdzięcza swój względnie szczęśliwy efekt dekoracyjny centralnie umieszczonej intensywnej, jaskrawej plamie zielonego sztandaru.

Nieznany dotychczas w Warszawie Borysowski, wyróżnia się zupełnie odrębnym kolorem i dużym smakiem w fakturze.

Borowski niepotrzebnie przypominający Zaka, Filipkiewicz, Jarocki, Czajkowski, Axentowicz, to najsłabsze punkty wystawy.

Filipkiewicz lubuje się w bardzo fałszywych zestawieniach fioletów i jaskrawych zieleni. Jego błędne wysiłki kompozycyjne chybiają celu, dając obrazy zapełnione w miejsce komponowanych.

Nudne duże płótna Jarockiego grzeszą temi samemi błędami kompozycji, co u Filipkiewicza. Portrety w plenerach robią przykre wrażenie, figura bowiem wygląda na malowaną we wnętrzu, a pejzarz zdaje się być potem dorobiony. To wszystko pod wyraźną formą impresjonizmu! W samej istocie tych obrazów tkwi jakiś bezsens, jakieś bardzo rzeczowe nieporozumienie z dziedziny najistotniejszych zagadnień Sztuki.

Oprócz wyżej wymienionych wystawiają: Kamocki, Kędzierski, Mehoffer, Pautsch, Podgórski i Dadlez (kompozycja przypomina przebrzmiałą już manierę niektórych dawniejszych uczniów warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych).

Pośmiertna wystawa prac Edwarda Trojanowskiego nie daje dostatecznego pojęcia o całokształcie jego pracy. Polichromja kościelna i witraże, które stanowiły lwią część pracy tego wybitnego artysty, są reprezentowane zaledwie kilkoma drobnemi szkicami. Nieliczny zbiorek uderzająco bezpretensjonalnych pejzarzy, utrzymanych w subtelnej gamie szarości przypomina silnie Stanisławskiego.

L. M. Leliwa.

Krzywe lustra

Utarło się mniemanie, że literatura jest wiernem odbiciem swojej epoki. Można się w niej przeglądnąć jak w lustrze i każdy znajdzie siebie. Duch epoki wcielony przez pisarza w treść książki, oraz postacie rozgrywającej się akcji ogniskują w sobie i uwypuklają toczące się życie. Takie jest przekonanie — ale nie zawsze prawdziwe.

Bardzo często literatura jest tylko krzywem lustrem życia. Wypacza rzeczywistość i stawia nam przed oczy nie naturalne odbicie, tylko karykaturę człowieka i świata. Zdarzenia i wypadki oglądane pod kątem artystycznego spojrzenia nabierają zupełnie innego wyrazu, niż w naszych codziennych oczach. Wyolbrzymia się nieraz drobne, nic nie znaczące fakty i naodwrót, sprawy o historycznej doniosłości zatracają swoje dominujące znaczenie. Artysta jest nigdy nieobliczalnym i nawskroś niezależnym osobnikiem, oceniającym rzecz każdą wedle własnego widzimisię. Nie życie kieruje nim — lecz on urabia życie i przez to właśnie jest wielkim.

Nie znaczy to jednak wcale, by taka samodzielność i nieliczenie się z niczem miały być równoznaczne z anarchją wszelkich zasad i pogwałceniem praw rządzących światem. Są granice, których bezkarnie nie wolno przejść nikomu, z tem musi liczyć się każdy twórca, jeśli zależy mu na oddźwięku wśród słuchających go ludzi.

Taki już jest świat i taka jest ludzka natura, że żaden, nawet największy odludek nie może obejść się bez gromady; a w pierwszym rzędzie artysta. Tworzy on dla siebie, lecz zawsze z myślą o kimś, jeśli nie o tych, co są, to o tych, którzy będą I jest zupełnie w porządku. Albowiem dzieło szuki nie jest czyimś prywatnym skarbem, ale należy do wszystkich niezaprzeczalnie, jak słońce.

Sztuka zatem jest rzeczą społeczną : jako taka musi podlegać pewnym prawom i niejakiemu skrępowaniu. Nie można jednak wtłaczać jej w ramki konkretnych obowiązków i z góry krępować przepisami, albowiem mocniejsza od wszelkich paragrafów, porwałaby je w strzępy i zdarła z siebie zbytnio ciążący łańcuch. Sztuka do normalnego rozwoju potrzebuje zupełnej swobody i niewtrącania się osób trzecich a zatem cała odpowiedzialność dzieła, za cel i sposób użycia talentu spada wyłącznie na twórcę. On, tworząc z całą niezależnością, słuchany i gloryfikowany przez współczesnych i potomnych, ponosić musi za to wszelkie konsekwencje, wynikające z dostojeństwa twórczości. Nie ma tu apelacji.

Otóż należy stwierdzić, że w epoce dzisiejszej, artysta zdaje sobie bardzo mgliście sprawę z odpowiedzialności swojego stanowiska. Pisze się dziś przeważnie dla chleba, albo przemijającej ambicji, nie biorąc pod uwagę, że ziarno posiane w rolę ludzką powoli, lecz niezawodnie kiełkuje. Wytworzyła się dzisiaj kasta wyrobników literackich, traktujących swój zawód rzemieślniczo, bez jakiejkolwiek ideji. Rzetelna i wielka twórczość spadła do poziomu stylistycznego opracowania nic nie mówiącej treści.

Literatura, do niedawna żywotna jeszcze i pełna ideałów kroczyła na czele postępu ludzkiego ducha, była strażnikiem i wysławiaczem jego najwznioślejszych dążeń. Czerpała energję z życia, przewalającego się u jej stóp i przerabiała poszczególne jego elementy na czyn o trwałej wartości — dzieło. Dlatego niektórzy nazwali ją zwierciadłem. Pomiędzy twórcą, a czytelnikiem był kontakt. Artysta tworzył dla siebie i przez to właśnie rozdawał się. Dzisiaj, nie tworząc dla siebie ale wyłącznie dla innych, nic ma nic, coby mógł oddać. Paradoks smutnej prawdy.

Faktem jest, że literatura przestała rządzić światem, a raczej jego ideami. Prasa i publicystyka wyręczyły ją, urabiając i orjentując opinję w chaosie napływających zjawisk. Dziennik począł wypierać książkę i w końcu ją zastąpił.

Taki jest obecny stan literatury polskiej. Odseparowana od stołu codziennych potrzeb i łoża człowieczych ideałów, zaskorupiła się w muszli skrajnego odosobnienia. Nieożywiona twórczym tchem bezinteresowności, zatraciła poczucie swej misji dziejowej. Krzykliwa i jarmarczna, bezprogramowa i wyciśnięta z idej, jak zeschła cytryna, nietylko przestała zasilać umysły i serca, ale odwrotnie, zatruła społeczeństwo duchowym nihilizmem.

Stan taki powinien ulec naprawie. Literatura, jak kryształowe zwierciadło, musi znów chłonąć w siebie człowieka i rzeczywistość i odsyłać w dziejową dal, niby odbite promienie - refleksy wielkich idej. Wtedy jednostka, ludzkość i czas ujrzą siebie w czystem odbiciu sztuki i zniknie z płaszczyzny krzywych luster tragiczna maska pustki. **Adrjan Zagórna.**

O niespodziankach i nagrodach

Jest coś jakoby symbolicznego w fakcie, że właśnie za „Niespodziankę" przyznano Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu państwową nagrodę literacką. Możnaby powiedzieć, że „niespodzianką' było przedewszystkiem — orzeczenie sądu, przyznające pisarzowi tę nagrodę.

Nie znaczy to bynajmniej, bym kwestjonował trafność samego wyroku. Wprost przeciwnie. Jestem przekonany, że nagroda ta należała się Rostworowskiemu — i to oddawna. Właśnie **oddawna**. O wiele wcześniej, niźli mu ją przyznano. I to właśnie było niespodzianką, że go tym razem — znów nie pominięto, jak to czyniono tylokrotnie. Drugą niespodzianką (dla „szerszej" — ? — publiczności) było to, że niewielki skutek osiągnęła urabiająca nastroje — w pewnym kierunku — agitacja i reklama.

Trzecią wreszcie niespodzianką dla publiczności — nie wiedzącej że tylko za dzieło z ostatnich 3-ch lat, a nie za całą twórczość autora przypaść miała nagroda — był fakt, że nagrodzonym utworem jest właśnie „Niespodzianka". Ani ten bowiem dramat, ani dalsze dwa z tego cyklu, nie mogą być dla nas miarą w ocenie literackich zasług Rostworowskiego.

W tym względzie należy postawić na pierwszem miejscu dwa inne dzieła — nieprzedawnione i niespożyte: „Judasza' i „Kaligulę'.

„Judasz" był jedną z pierwszych niespodzianek Rostworowskiego. Utwór ten, który „podbił sceny polskie" — jak się o nim zdawkowo czy dobrodusznie wyraził Feldman — w łamiącym się wpierw z trudnościami formy i treści poecie ukazał nagle wielkiego mistrza, świadomego swych dążeń i swych celów artystycznych. Z wszystkich dzieł Rostworowskiego ten właśnie dramat najsilniej oddziałał na literaturę polską — i oddziaływa jeszcze po dziś dzień: kto lubi dzielić literaturę na „szkoły," mógłby przez „Judasza" mieć do jednej z nich furtkę otwartą. Natomiast — co rzecz może dziwna — na lokalnej tylko, krakowskiej, arenie rozegrały się niemal wszystkie boje o drugi fenomen, drugą (mówiąc to samo po polsku) „niespodziankę" Rostworowskiego. Zjawiskiem tem był „Caius Caesar Caligula" — najbardziej godne podziwu dzieło tego poety. Podziwu godne nie tylko ze względu na niesłychane wprost mistrzostwo środków artystycznych, z których niejeden był wręcz nowością w naszej literaturze (nie chcę powtarzać tego, co na ten temat już pisano), ale też ze względu na okoliczności, towarzyszące powstawaniu tego dramatu. Banalne przysłowie: **inter arma silent musae** zawiera tylko względną prawdę; talenty prawdziwie wielkie opierają się nawet wielkiej czasów zawierusze. Poezja polska wobec świata szerszego wykazać się może **tylko dwoma dokumentami niepowszedniej,** głębszej wartości: „Księga ubogich' Kasprowicza i „Kaligula" Rostworowskiego.

Po kulminacyjnym punkcie, jakim był „Kaligula', nastąpił w twórczości poety pewien — że tak powiem — kryzys; mniejsza z tem, czy wyrazu tego użyjemy w „modnem" dziś, zbanalizowanem znaczeniu, czy też w tem właściwszem znaczeniu, jakie nadawali mu starożytni Grecy. Nie zamierzam mianowicie wchodzić w to, czy niewątpliwe osłabienie mocy dramatycznej w dziełach następnych było skutkiem pewnego (zrozumiałego zresztą) zmęczenia, czy też raczej mamy tu do czynienia z tendencją samego poety, który czynił w ten sposób ofiarę na rzecz nowych form artystycznych. „Miłosierdzie" jest pod niejednym względem nawrotem do „Judasza" — to prawda — ale raczej stanowi jego ekskuzę, niż ciąg dalszy. Wobec „Kaliguli" zaś jest to jakoby umyślny kontrast, podkreślony konsekwentną — że znów użyjemy „modnego' wyrazu — „pauperyzacją" zarówno treści jak środków artystycznych. Po tem misterjum, mającem oparcie w sztuce i ideologji średniowiecza (symboliczne użytkowanie motywów wielkiego tygodnia) a poczęści w poezji ludowej, przyszła niespodzianka w swoim rodzaju — symboliczna „bajka", czy może raczej „Puppenspiel": „Straszne dzieci'. Był to znów błysk niepospolitego artyzmu, tym razem wykwintny żart „tylko dla dorosłych" — do którego jednak publiczność naogół... nie dorosła Ta arcysceniczna sztuka nie zdołała „podbić scen polskich'. Stało się to również udziałem dwóch następnych dramatów Rostworowskiego: „Zmartwychwstania" i „Antychrysta', mimo że oba były osnute na tematach aktualnych i mimo że w „Antychryście" nie brak miejsc o wielkiej sile dramatycznej. Dystans między poetą a widzami rósł coraz bardziej... ale tylko do czasu. Świadomą i rozważną pracę doświadczalno-twórczą przerwało nagle Rostworowskiemu doznane niespodzianie wrażenie. Zamiast rozpoczętego i zapowiedzianego „Czerwonego marszu" — dramatu o podkładzie historycznym — otrzymała publiczność rzecz zgoła współczesną: „Niespodziankę"... A z niej, niespodziewanie dla samego twórcy, wypłynęły dzieła następne...

Z nagrodą literacką zbiegł się drugi fakt ważny w życiu Rostworowskiego: ukazanie się — pierwszego od lat około dwudziestu — zbiorku jego utworów lirycznych („Zygzaki", nakł. księg. św. Wojciecha w Poznaniu). Nowość ta księgarska zasługuje na osobne omówienie. Tymczasem może nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że utwory zawarte w tym zbiorku stanowią plon — czy pokłosie — lat kilkunastu, tych właśnie, które przyniosły „Miłosierdzie", „Straszne dzieci", „Zmartwychwstanie" i „Antychrysta". W pewnej mierze są one właśnie jakby glossami dzieł wspomnianych, jednakże w niektórych utworach — jak w „Confiteor" — myśl i nastrój przechodzi znacznie ową granicę i pozwala wróżyć, że laureat nagrody państwowej bynajmniej jeszcze nie myśli zasiadać na laurach. **Józef Birkenmajer.**

Ragnarök

DRUGI GRZECH PIERWORODNY.

Patrzymy dziś naszemi oczami na wielki zmierzch epoki. Ragnarök — ponury zmierzch bogów i fetyszów wieku XIX — który stał się koroną i upadkiem, triumfem i klęską epoki, rozwijającej się od czterech wieków w jednym kierunku. Jeżeli będziemy się cofać myślą w dziejach — by wyśledzić źródło tego wielkiego okresu, zatrzymamy się na wspaniałym, i jakże sławnym prądzie kulturalnym — na odrodzeniu. O ile bowiem era chrześcijańska zamknęła okres starożytnej historji i rozpoczęła ten, który zwiemy średniowieczem — to były te średnie wieki próbą realizacji chrześcijaństwa w stosunku do pojedyńczych ludzi. Mieści — bo — nauka Chrystusowa w sobie i społeczne porządki — jednak zastawszy świat nieprzygotowanym, przeniknęła w ludzkość najpierw jako ideał życia pojedyńczego, podczas gdy wartości społeczne pozostały ukryte, niewydobyte. W tym stanie — „chrześcijaństwa indywidualnego" — wielkie wahanie historji przesuwa punkt ciężkości w drugą stronę. Ciało — ciało ludzkie sprowadzone przez Chrystusa do mizernej roli prochu i popiołu, biczowane i karane postem, budzi się ponownie, przeciąga się — żąda życia dla siebie. Odrodzenie staje wyraźnie naprzeciw chrześcijańskiego średniowiecza i zwolna, krok za krokiem wdziera się wszędzie, obala wszystko co było, i buduje — buduje mocno i trwale — na cztery stulecia — wspaniałą oszałamiającą świątynię — **człowieka**.

Przełom ogarnia wszystkie dziedziny. Życie skupia się w rozrastających się miastach. Kult ciała — wiedzie za sobą żądzę bogactwa i użycia. Solidaryzm zawodowy średniowiecza musi upaść. Człowiek — żądny użycia dla siebie — potężnieje, rozsadza ciasne i krępujące więzy cechów czy korporacyj — wychodzi z gotyckich katedr na słońce sam, piękny i dumny l'uomo universale: Fryderyk II czy Rudolf Habsburg.

Piękne życie żąda złota. Złota dużo, coraz więcej. Gdzież ostanie się średniowieczny przesąd o „iustum pretium" — lub zakaz pobierania procentów? Któż z żądnych życia wahałby się teraz zyski ciągnąć z handlu — nieprzystojne dawniej dla stanu wyższego, szlacheckiego? Myślą więc wszyscy o zysku, bo zysk to piękna kancona, to pałac, to uczty i kobiety i wino i uczeni, artyści. Zysk to złoto — którem kupuje się wszystko — dla zmysłów, wszystko — dla ciała, nawet truciznę i sztylet dla jego obrony. To mocne indywiduum renesansowe fascynuje teraz ludzkość. Człowiek odrodzony — i wyleczony z ideałów chrześcijańskich, uczony, pyszny i zuchwały l'uomo piacevole — popełnia **drugi grzech pierworodny**. Wraca w epokę przedchrystusową. Nie przerwie tego bujnego fermentu ascetyczny Savonarola. Spłonie na stosie surowy mnich. Nie obali tego rozrosłego drzewa żywiołowy pęd baroku. Nie wstrzyma go wreszcie ani namiętny wicher romantyzmu. Przygięty — powstanie, umarły — odżyje — i żyje tak do dziś. 40-wieczny starzec — więdnący wreszcie na naszych oczach.

OD LUTRA DO MARKSA.

Mikołaj Cusanus, pierwszy renesansu filozof — w każdem zdarzeniu, w każdym atomie widzi „coincidentio oppositorum". Tak więc warunkiem i istotą wszystkiego jest zbieg przeciwnych zasad. Wszystko poczyna się dzielić i rozpadać. Ten dualizm przynosi narazie kontrapunkt (po monodji) — podwójną buchalterję i wreszcie walkę klas.

Reformatorzy religijni stają się ojcami przemian, sięgających aż po dzisiejsze czasy pośrednią drogą w życie społeczeństw. Luter apoteozuje pracę (następnie: zawód, rodzinę, państwo). Odtąd rozpoczyna się uznanie pracy za **cel** życia, wbrew chrześcijańskiej zasadzie szanującej pracę jako **drogę** do celu. Na tem ujawnionem zagadnieniu pracy wyrasta Marx wraz z wszystkiemi późniejszemi ruchami socjalnemi.

Kalwin pierwszy zwalcza średniowieczny zakaz pobierania procentów i daje zaczątek nowoczesnego kapitalizmu, amerykanizmu z obecnem bezrobociem i nadprodukcją.

Te dalekie od siebie napozór sprawy: żądza użycia i reformacja z kultem pracy i zarobku — tak niewinne napozór w początkach, poruszyły lawiny, które dziś z hukiem pędzą na nas.

Nawskróś materjalistyczna epoka nasza zdążyła już wyplenić, czy choćby zagrozić wszystkie idealne wyobrażenia. Dla przykładu, — wyliczam za Papinim — kto i co niszczył:

1) Freud i Weininger — pojęcie człowieka moralnego,
2) Lombroso i Nordau — ideję wielkich ludzi,
3) Heine i Marx — idealizm i katolicyzm,
4) Reinach — religję,
5) Bergson i Meyerson — intelekt,
6) Einstein — pojęcie absolutu.

EPOKA BEZ CUDÓW.

Natomiast otrzymaliśmy nowoczesny katalizm i złączony z nim ściśle przeraźliwy postęp techniczny, które oba — pozbawione jakiejkolwiek idei moralnej — przywiodły nas do tego potwornego stanu — że wobec głodu i nędzy pali się zapasy kawy, topi pszenicę — że całe miasto Steyr po bankructwie olbrzymiej fabryki broni, znalazło się w skrajnej nędzy, że ludzie strajkują dziś przeciwko światłu elektrycznemu i t. d. I pocóż wyliczać te dziwolągi dzisiejszego ustroju, które każdy zna? Wszystko jest tragicznie skłócone, bezsensownie pomylone, obłędne, dzikie. Postęp techniczny, który jest tęsknotą człowieka do panowania nad naturą — sprowadził skutek wręcz przeciwny. Nigdy jeszcze człowiek nie był tak zależny od natury i maszyn — jak dzisiaj. Mamy więc naukową organizację pracy, demografję, statystykę, emigrację, siłę kupna, fiskulturę, piatiletki, kampanje zbożowe, natomiast nikt nie jest szczęśliwy, w tem życiu regulowanem przez materjalistyczne prawa.

Niemiecki pisarz Friedell tak powiada. „Jeśli dziś nie doznajemy cudów — nie znaczy to, byśmy byli mądrzejsi. Jesteśmy tylko ubożsi w fantazję, w uczucie, w ducha, w instynkt, krótko mówiąc: głupsi. Nie dzieją się dzisiaj cuda, ale nie przez to, byśmy żyli w czasach nader postępowych i oświeconych — ale w czasach zbyt podupadłych i od Boga zapomnianych".

Otóż to. Czyż przyjdzie komuś na myśl, że dziedziny ekonomji i moralności są ściśle ze sobą połączone? Że spraw gospodarczych i społecznych nie wolno odrywać od etycznych? Buduje się olbrzymie teorematy socjalne — nie myśląc o przykazaniach boskich i ewangelji — bez których — jakże uregulować współżycie między ludźmi? Jakże ma wystarczyć sprawiedliwość bez miłości?

Mści się okrutnie specjalizacja techniczna (cóż za cudo!), która przeniesiona w dziedzinę pracy umysłowej, wyjaławia umysły elity intellektualnej ze zdolności syntezy i z warstwy przodującej czyni termitorjum rozbiegane w różnych kierunkach — nie zespolone żadną ideją przewodnią, pozbawione najskrupulatniej jakiegokolwiek idealizmu moralnego. Pieniądz w postaci bogactwa indywidualnego i anonimowej koncentracji, rządzi światem. Rządzi razem z maszyną tym bezdusznym tłumem ludzkości, zajętej trawieniem i rozmnażaniem się.

Czyż dziwne jest, że walka klasowa takie przybrała rozmiary? Jeśli jedyną treścią życia jest użycie — trudno wymagać, by te problemy inaczej rozstrzygano. Trzeba dalej pamiętać, że jeśli w Italji, Francji i Austrji przypada na 2 rolników — jeden robotnik przemysłowy, to w Niemczech i U. S. A. jeden robotnik już na 1 rolnika, a w Anglji na 1 rolnika — 7 robotników. Trzeba więc pamiętać, że świat ten „uświadomiony klasowo", będzie może decydował o przyszłości — sam i przez swych synów — inteligentów. Gdy więc nigdy nie zaznał sprawiedliwości ani miłości — jakimże będzie?

RENESANS ROMANTYZMU?

Wspomnieliśmy wyżej o romantyzmie jako chwilowej odtrutce na postępujące zmaterjalizowanie świata. Romantyzm nie przemógł. Jednak — jednak, czy skończył się? Jeśli mowa o polskiej filozofji i poezji romantycznej — śmiało twierdzić można, że spełnia zaledwie część swej roli — podobnie jak nauka Chrystusa. Nie można zaprzeczyć, że rozpoczęte studja nad filozofją Hoene-Wrońskiego i współczesnych, odkrywają nam systematy wspaniałe — a odrzucone poprzednio i zapomniane jedynie przez modę chwili. Że dzieła naszych wieszczów i ich kontynuatorów leżą nieodkryte jako „verba abscondita" — oczekując żywego i tym razem prawdziwego renesansu. Ten, aktualny **zwrot ku romantyzmowi** naszemu, czuje się w powietrzu.

Dzieje naszej emigracji (a także wszystkich powstań) dowodzą też stale, że toczył się w narodzie stały bój wewnętrzny — między dwoma skrzydłami: tych, którzy zawsze zmienić chcieli układ sił w społeczeństwie, gwałtem choćby najszkodliwszym i tych, którzy obawiali się tych gwałtownych przeorywań a wyczekiwaniem raczej spodziewali się uzyskać lepszy ustrój.

Niepodległość i kwestja społeczna to nierozerwalna para na sztandarze powstań wszystkich bez wyjątku.

To więc musi uwagę naszą, tak zajętą dziś sprawą społeczną, zwrócić na te czasy. A że nie umieli współcześni korzystać z idej poetów i filozofów — nam może przypadnie w udziele realizowanie duchowej spuścizny. Ponieważ jest ona ściśle związana z nauką Chrystusa — zwróćmy uwagę co w międzyczasie sama stolica chrześcijaństwa — przedsięwzięła.

ROMA LOCUTA.

Chodzi tu o cały szereg encyklik papieskich, od zapoczątkowanych u schyłku XIX w. przez Leona XIII — do ostatnich encyklik obecnego papieża, a zwłaszcza „Quadragesimo anno" (15/V.1931) — wkraczających w dziedziny życia publicznego. Podstawą ich jest **bezwzględna krytyka** obecnych stosunków, opartych na dyktaturze ekonomicznej z jej zgubnemi następstwami, — na rozroście przemysłu z konsekwencją liberalizmu i socjalizmu. Przez założenie, że rozwiązanie tych zagadnień bez udziału religji i kościoła jest niemożliwe — stwarzają one podstawy socjologji katolickiej. Papież stwierdza wyraźnie, że z prawa i obowiązku swego, wykonuje najwyższym swym autorytetem urząd sędziowski w sprawach społecznych i gospodarczych. Naczelną zasadą rozważań jest wprowadzenie etyki chrześcijańskiej w świat zagadnień ekonomicznych i socjalnych.

Prawo moralne, obowiązek dążenia do celów ostatecznych ludzkości — są zasadą główną, której muszą podporządkować się wszystkie inne sprawy człowiecze.

Prawo własności **prywatnej**, wbrew kollektywistom zostaje uznane — jednak, wbrew indywidualistom — ograniczone poważnemi obowiązkami. Własność dana jest jednostkom na **pożytek wszystkich**, przez co obciążają ją obowiązki, które winno regulować państwo w myśl zasad chrześcijańskich. To samo dotyczy wolnych dochodów i sposobu nabywania własności. Również zaprzecza encyklika słuszności teorjom liberalistów i socjalistów — o kapitale i **pracy najemnej**. Tylko **razem** są one zdolne do wytwarzania dóbr. Obecny **podział dóbr** uznaje stanowczo za niesłuszny i żąda, by był przywrócony podział odpowiadający zasadom sprawiedliwości społecznej. Omawiając dalej zagadnienie płacy i pracy (która nie może być towarem sprzedawanym, bo obraża to godność człowieka) — woła o wyzwolenie proletarjatu z nędzy, powstałej z niesprawiedliwego podziału dóbr. Woła o nowy ustrój społeczny, oparty na solidaryźmie stanów i korporacyj. Nie przewiduje możliwości poprawy — bez odrodzenia moralnego. Sprawiedliwość sama (jako suchy porządek prawny w państwie) nie wystarczy do załatwienia tych palących kwestyj. Tylko odrodzenie w duchu chrześcijańskim i wprowadzenie **miłości** do nowego ustroju — sprowadzi pokój.

Całość tych zasad (obszernie rozwiniętych) cechuje zasada syntezy, scalającej pojęcia antynomialne, rozbijające dotąd świat, — syntezy opartej na nauce Chrystusa. Ustalając najgłówniejsze te zasady — encykliki nawołują laików do kontynuowania ich i do realizowania nowego ustroju.

Posiadamy w naszej filozofji XIX wieku — wśród innych — system Cieszkowskiego, który jako całość można krytykować, — który jednak w ustępach o zapoznanych dotąd wartościach społecznych nauki Chrystusa — zdumiewa.

Przez tego więc filozofa, przez innych współczesnych mu filozofów i poetów — otwarta droga do wielkich i niezużytych idej, rozwijanych dziś przez stolicę apostolską — a więc przez powrót do szczytów naszej filozofji romantycznej i romantycznej poezji — dojdziemy do zasad nowego ustroju — do królestwa bożego **na** ziemi.

Tadeusz Kudliński.

Unja słowiańska

T. zw. „ruch słowiański", który dziś nawet w Polsce niezwykle przybiera na sile, jest bardzo interesującem zjawiskiem historycznem. Tego rodzaju masowe procesy społeczne, te zwłaszcza, które, jak ruch słowiański nurtowane są przez głuche, wizyjne poczucie misji dziejowej — nie mogą być pominięte przy rozważaniu całokształtu struktury duchowej i materjalnej jutrzejszej Europy. Wszystko, co jest i co powstaje żywiołowo, nie z podniet sztucznych, ma swoją nieodwracalną rację bytu. Ale jeżeli tak, to jaką rację bytu, jaki sens polityczny i społeczny ma ruch słowiański?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba naprzód poszukać analogij, w celu stwierdzenia, czy ruch słowiański ma swój precedens w postaci podobnego ruchu wśród narodów romańskich i germańskich. Gdyby tak było, znaczyłoby to, że luźna dążność federacyjna przejawia się u wszystkich ras i szczepów, wobec czego do dążności takiej wśród Słowian nie należałoby przywiązywać zbytniej wagi, ani też spodziewać się po niej zbyt wiele.

Otóż pangermanizm i pan-romanizm pojawiał się na widowni dziejów, ale w postaci idej wylęgłych sztucznie, abstrakcyjnych. Natomiast o ruchu żywiołowym, wybuchającym wprost z dna pokładów psychiki danego szczepu, jak się to dzieje u Słowian, zwłaszcza południowych, nigdy nie było tam mowy. Zaznaczały się pewne, platoniczne zresztą sympatje, nigdy jednak nie powstała koncepcja np. pan-germanji, wspólnie powzięta przez niemców, anglików, jankesów, szwedów, holendrów, norwegów, duńczyków — jak wśród ludów słowiańskich rodzi się naturalne, organiczne pojęcie, czy nawet koncepcja dziejowa — Słowiańszczyzny.

Znaczy to, że ruch słowiański jest czemś specyficznem, jedynem w swoim rodzaju. Ta swoistość stawia go poza nawiasem wszelkich analogij i czyni z niego fenomen historyczny, domagający się bliższego zbadania i określenia. Nie można i nie wolno nawet przejść nad nim do porządku dziennego — jak się to dziś jeszcze dzieje u nas — bo wchodzą tu w grę narody młode, dynamiczne, pełne aspiracyj wysokich i wciąż rosnących, narody zajmujące olbrzymią środkowo- wschodnią połać europejskiego kontynentu, bardzo liczne i mnożące się niezmiernie szybko, narody wreszcie o psychice tak dalece odmiennej od ludów zachodnich i tak szczególnej, że analiza jej charakterystycznych elementów pozwoliłaby nam nazwać tę grupę etniczną — **rasą przyszłości**. (Analizę taką chcę podjąć w specjalnym artykule).

Jeżeli jednak prąd ten jest tak interesujący i tak ważny z różnych względów dla świata, dlaczego w Polsce, tym kraju par excellence słowiańskim, tak słabo się on dotąd zaznaczył?

Sądzę, że wpłynęła na to przedewszystkiem walka nasza z Rosją, tem najpotężniejszem państwem i najliczniejszym narodem słowiańskim w Europie. Drugą przyczyną było to, że rosyjska polityka mocarstwowa dążyła do ujęcia ruchu słowiańskiego w swoje ręce — i biorąc na siebie rolę patronki i orędowniczki uciśnionych słowiańskich ludów, wygrywała ten ruch, jako atut polityczny i jako narzędzie dla swoich egoistycznych celów. Trzecią wreszcie przyczyną było to, że rosyjskie sfery kierownicze i intelektualne rozumiały i interpretowały ten ruch fałszywie, grzesząc przeciw samej jego istocie, bo — w przeciwieństwie do polskiej zasady „wolni z wolnymi i równi z równymi", w przeciwieństwie do wzniosłej naszej koncepcji federalnej (Unje i Konfederacje) — myślały one o roztopieniu wszystkich Słowian w „morzu rosyjskiem", czyli poprostu o ich unicestwieniu. Przytem obciążał Rosję grzech śmiertelny: programowe niszczenie najbardziej zaawansowanego wśród Słowian w kulturze duchowej i intelektualnej narodu polskiego.

Dziś Rosja, w dawnej swojej postaci, nie istnieje. Tem samem znajduje się ona narazie, jako naród, poza nawiasem koncepcji słowiańskiej (co nie znaczy wcale, by kiedyś nie miało być inaczej). Zamiast panslawizmu pojawił się i szerzy się coraz bardziej w rosyjskich kołach anti-marksowskich, a więc narodowych, t. zw. eurazjanizm, ruch interesujący i żywotny, nie wchodzący jednak w zakres tych rozważań. Mimo to nie należy — rzecz prosta — zapominać, że rosjanie nie mogą być pominięci w słowiańskim ruchu federacyjnym i że w skład obecnego państwa sowieckiego wchodzą dwa jeszcze ludy słowiańskie: ukraińcy i białorusini (w granicach państwa polskiego żyją niewielkie odłamy tych ludów).

W aktualnym momencie dziejowym, wobec odosobnienia Rosji, ruch słowiański wkracza siłą faktu na inne tory i szuka sobie nowego ideowego łożyska. Czy w takim stanie rzeczy, nasza niechęć i podejrzliwość w stosunku do Rosji, oraz pamięć o wczorajszych perypetjach ruchu słowiańskiego, ma nas i nadal stawiać na jego marginesie?

Chyba nie. Byłby to grzech historyczny nie do przebaczenia, odstępstwo Polski od wielkiej ideji wszechsłowiańskiej: byłby to nawet kardynalny błąd polityczny, jeżeli mamy oceniać to bezinteresowne, idealistyczne zagadnienie z tak pospolitego punktu widzenia. Ruch słowiański nietylko powinien się dalej rozwijać, nietylko winien być poparty przez Polskę z całą energją i siłą — ale też musi być przemyślany na nowo i przebudowany od podstaw, aby go można było dźwignąć na wyższą od dotychczasowej płaszczyznę.

Pozornie wydaje się, że Polska nie była dotąd zaangażowana w tym ruchu inaczej, jak drugoplanowo i sporadycznie. Gdyby tak było, usprawiedliwiałyby ją warunki polityczne, w jakich się znalazła po rozbiorach; przecież przez półtora wieku nieomal pochłaniała ją i wiązała wszystkie jej siły ideja odzyskania niepodległego bytu. Ale usprawiedliwienie to nie jest potrzebne. Polska dała ruchowi słowiańskiemu to co najważniejsze, bo jego **ideologję**, jego rozumowe, historjozoficzne ugruntowanie.

Jest to moment niezwykle ważny, który jak dotąd przeocza się i przemilcza, niewiadomo dlaczego. Cała filozofja polska i cała nasza t. zw. poezja wieszcza, nastawiona była na wszechsłowiańską koncepcję federacyjną. Świadczą o tem zarówno liczne ustępy z dzieł naszych myślicieli, jak wypowiedzi i utwory poetów. Co więcej, należy stwierdzić, że ani filozofja rosyjska, ani filozofja innych narodów słowiańskich (o ile ona istniała), nie przemyślała tak dogłębnie, jak nasza tego zagadnienia i nie rozwiązała go w tak olśniewający sposób. Jest rzeczą smutną, że nietylko czesi i południowi słowianie, ale samo nawet społeczeństwo polskie, nie zdaje sobie sprawy z rozległości i genjalności polskiej koncepcji historjozoficznej w tym zakresie. Należałoby wypełnić dziś tę lukę i przystąpić do opracowania tej spuścizny. Należałoby poruszyć umysły i pchnąć je w tym kierunku. Mogłoby to ten cały spontaniczny i szeroko rozbudowany **ruch** słowiański nietylko ożywić, ale i ugruntować na niewzruszonym fundamencie historjozoficznym, wiążąc go nierozerwalnie z najwyższemi prawidłami filozofji dziejów.

Sytuacja przedstawia się dziś tak:

1) wschód Europy, czyli narody Rosji sowieckiej są dla słowiańskiej akcji federacyjnej narazie stracone i nie wchodzą w rachubę;

2) środkowo i południowo europejskie ludy słowiańskie ruch ten rozwinęły u siebie żywiołowo, ale ma on tam charakter raczej uczuciowy, co nie pozwala mu odegrać rozstrzygającej i wogóle pozytywnej roli we współczesnym układzie stosunków politycznych i społecznych Europy;

3) W Polsce uczuciowy i żywiołowy ruch słowiański dopiero się budzi i jest o wiele słabszy, niż w Czechosłowacji, Jugosławji i Bułgarji — natomiast posiada ona całkowicie wypracowany i historjozoficznie uzasadniony, potężny systemat ideologiczny, który mógłby dać luźnej koncepcji federalnej Słowiańszczyzny żelazny, mocny szkielet i tem samem uczynić ją trzonem wszystkich poczynań politycznych, społecznych i gospodarczych środkowej Europy.

Ale widoki tak postawionego ruchu wszechsłowiańskiego byłyby daleko większe jeszcze. Zagadnienie to — ujrzane w tej postaci — przenosi się na platformę ogólno-europejską, wciąga w swoją orbitę narody, wklinowane między państwa słowiańskie, lub też sąsiadujące z niemi (Węgry, Rumunja; Grecja i kraje bałtyckie), a wreszcie wiąże się wprost i już bezpośrednio z problemem kryzysu ideologicznego Ligi Narodów, który ujawniony dziś tak jaskrawo, rodzi konieczność nowej, doskonalszej koncepcji w tej dziedzinie. Mam na myśli prawdziwą, zdolną zapewnić pokój i ład moralno-gospodarczy, Federację Państw, której miraż fascynuje ludzkość współczesną, jako ideał najwyższy jej dziejów.

Jaki byłby ustrój i jakie założenia ideowe tej nowej Federacji (czyli Ligi Narodów przetworzonej i udoskonalonej) — to, problemat, który czas już dziś poważnie postawić i przemyśleć. Jest zupełnie możliwe, że typ federacyjny, do jakiego dąży spontanicznie ruch słowiański (typ rdzennie pokrewny polskiej Unji i Konfederacji), gdyby został prawnie ukonstytuowany i zrealizowany praktycznie — mógłby stać się wzorem i bodźcem tej wielkiej oczekiwanej z utęsknieniem Federacji światowej.

Slavus.

Ideją podbijaj Duchy narodów! aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich! A wszyscy dopomogą do czynu!

Twarz swoją duchową wymaluj przed narodami!... a żaden lud nie zaśnie, ale westchnie: aby się twarz ta ciałem zjawiła.

Oto już opinją jest: że myśleć nie umiesz! a dobra tylko jesteś do korda!... jakgdybyś Ty nie wzięła testamentu żadnego po Ojcach twoich i nie wiedziała o żadnym Ducha polskiego rozkazie.

Juljusz Słowacki,

Symbolizować prawdę najwyższą — jest to zadanie poety; odkrywać ją — filozofa; być nią — Boga.

Zygmunt Krasiński.

l. do Reeve'a, 1837.

A jeśli kto z was powie: oto jesteśmy pielgrzymowie bez broni, a jakże mamy odmieniać porządek w państwach wielkich i potężnych?

Tedy kto tak mówi, niech uważy, że cesarstwo rzymskie było wielkie jak świat, i imperator rzymski był potężny jak wszyscy królowie razem.

A oto Chrystus posłał przeciwko niemu dwunastu tylko ludzi prostaków, ale iż ludzie ci mieli duch święty, duch poświęcenia się, więc zawojowali imperatora.

Adam Mickiewicz,

Kto winien?

W dobie dzisiejszej, dobie kryzysów, coraz częściej słyszy się wyrażenie „kryzys kultury". Coraz wyraźniej zarysowuje się atmosfera bezradności i słowo „kryzys zaczyna nabierać wszelkich cech zbiorowej psychozy, jak w średniowieczu słowo „koniec świata". Dużo mówi się o niskim poziomie kultury szerokich sfer ludności, o obniżeniu poziomu intelektualnego młodzieży dorastającej, o słabem zainteresowaniu społeczeństwa sprawami kultury. Szuka się przyczyn i winowajców upadku kultury duchowej narodu. Szuka się i znajduje: jedna z ważniejszych przyczyn leży w układzie sił społecznych współczesnych zbiorowisk ludzkich, w kryzysie gospodarczo - ekonomicznym, który dotknął cały świat. Wini się kino, sport; literaturę. Doszukuje się błędu w stanowisku pisarzy i t. zw. przewodników duchowych narodu. Wszystkie zarzuty, skierowane pod temi adresami, są poczęści słuszne, poczęści zaś wyssane z palca. Ale naogół bardzo mało mówi się o tym czynniku, który urabia opinje społeczeństwa, a nawet może sobie pozwalać na kołowanie temi opinjami, jak mu się spodoba. Tym czynnikiem potężnym, mającym w ręku skomplikowany aparat środków oddziaływania, jest prasa codzienna. I nie ulega wątpliwości, że właśnie ona odegrała olbrzymią rolę w obniżeniu poziomu kulturalnego narodu. Pomijam tu cały szereg ważnych czynników, które wpłynęły na działalność prasy i jej zachowanie się wobec zagadnień kultury. Chciałbym tylko przedstawić w najogólniejszym zarysie, jak się odbywało obniżanie poziomu prasy, jak się przedstawia jej stosunek do jednego z najważniejszych zagadnień kultury, do zagadnienia literatury, i o ile uprawnione są zarzuty skierowywane pod adresem literatury, przypisujące samym pisarzom winę jej upadku i brak zainteresowania społeczeństwa jej sprawami.

Przed wojną największy nacisk kładziono w prasie na propagandę t. zw. wartości duchowych narodu, w związku z czem niepoślednią rolę odgrywała w niej literatura, literatura nastrojona zresztą na mocny ton społeczno - obywatelski. Zagadnienia społeczno - polityczne można było poruszać bardzo ostrożnie. Byt materjalny prasy opierał się na stałym odbiorcy, na prenumeratorze. Z chwilą odzyskania niepodległości, cały splot zagadnień społeczno - politycznych rozszerzył ramy zainteresowań prasy i zmusił ją do zaprzątnięcia uwagi palącemi kwestjami organizacji wewnętrznej państwa, usuwając tem samem w cień sprawy literatury, jako luźno związane z codziennemi aktualnościami, — i pozostawiając ją niejako samej sobie. Zjawisko to było zrozumiałe i nie groźne. Po pewnym czasie okazałaby się ważność i istotnie głęboki związek literatury z całokształtem życia narodu, i musiałaby ona odzyskać należne jej miejsce w prasie codziennej.

Lecz podczas wojny i po wojnie, wskutek chwiejności stosunków gospodarczych i polityczno - społecznych zmieniły się podstawy i warunki bytu materjalnego prasy. Duże jej odłamy straciły oparcie o stałego prenumeratora i zostały zmuszone do przejścia na system ulicznej sprzedaży. Tu właśnie rozpoczyna się gwałtowne obniżenie poziomu prasy. Zjawisko to zachodziło na naszych oczach i występowało w sposób niezwykle jaskrawy. Żeby zdobyć odbiorcę, masowego konsumenta, trzeba było dostosować się do jego gustów, zainteresowań i upodobań. Rozpoczęła się pogoń za sensacją, której zresztą nigdy nie brak. Sprytny przedsiębiorca prasowy zakłada pismo, idące po linji najmniejszego oporu, schlebające najniższym instynktom rzesz czytających. Jesteśmy świadkami powodzenia tego gatunku prasy, jej rozrostu. Pismo, oparte o skromny kapitał zakładowy, wyśmiewane początkowo, a mimo to czytane, rozrasta się w olbrzymie przedsiębiorstwo prasowe, zakłada cały szereg nowych wydawnictw, skupuje już istniejące. Równocześnie inni kombinatorzy, posiadający mniej względów kulturalnych i gotówki, skuszeni powodzeniem tego rodzaju prasy, zaczynają zakładać dzienniki o poziomie tak niskim, że niższy trudno sobie pomyśleć. Powstaje szereg szmat, z pośród których kilka z powodzeniem konkuruje nakładami z wydawnictwami inicjatorów wprowadzenia prasy tego typu. Już i niektóre z poważniejszych dzienników czują się zmuszone do pójścia na ustępstwa wobec gustów odbiorcy, wykształconego na najniższym gatunku lektury codziennej.

Tymczasem przedsiębiorstwo, które rozpoczęło akcję, prowadzącą w swych skutkach do rozrostu prasy brukowej; zojentowało się, że nie może jechać dalej na tym wozie, na którym wyruszyło. W związku ze wzmocnieniem podstawy materjalnej, i z konkurencją prasy brukowej coraz niższego typu, obudziły się w jego łonie ambicje podwyższenia poziomu swych wydawnictw. Oczywiście teraz, biorąc pod uwagę, że przez długi czas wyjaławiało się grunt, niełatwo podnieść poziom uprawy duchowej. Obniżanie poziomu intelektualnego, schlebianie niskim upodobaniom mas szło jak po maśle, zjeżdżało się po równi pochyłej wesoło i raźnie, ale dźwigać wóz kultury pod górę, to praca powolna i ciężka. W każdymbądź razie zwrot, dający się zauważyć nietylko w przedsiębiorstwie, o którem była mowa, lecz i w wielu innych odłamach prasy jest znamienny, pocieszający i należy tym usiłowaniom conajmniej przyklasnąć. Tem niemniej wpływ początkowej działalności pozostał i odbił się na całej prasie polskiej, szczególnie prowincjonalnej, gdzie grasuje typ prasy brukowej, niższy chyba jeszcze od najniższego stołecznego.

Na zmniejszenie zainteresowań społeczeństwa literaturą i sztuką wogóle, wpływa, w dużej mierze słabe echo tych spraw w prasie codziennej, czego przyczyna leży w pochłonięciu prasy przez aktualności polityczno - społeczne. W większości dzienników kwestje literatury, poza sprawozdaniami teatralnemi, których poziom jest bardzo różnorodny, nie istnieją. W innych sprawy te traktuje się kątem, dorywczo, niemal lekceważąco. Niewielka zaledwie część prasy stawia je na właściwem miejscu i poziomie. A tam, gdzie tradycje wydawnictwa pozwalają, na poświęcenie większej ilości miejsca literaturze, nieraz przestarzałe poglądy na sztukę, piernikarstwo kierownictwa literackiego lub jednostronność, sprawiają, że wartość tych pism, jako propagatorów zdobyczy kulturalnych jest prawie żadna. Kto stoi w miejscu, ten się cofa. Nie można uważać za literaturę wierszowanych artykulików politycznych, preparowanych z dnia na dzień przez nadwornych gryzmołów, ani głupich powieści sensacyjno - kryminalnych, grasujących szczególnie w prasie brukowej, lecz przedostających się i do poważniejszych organów prasowych. Nie można też nazwać zainteresowaniem sprawami literatury — pomieszczania wzmianek o ukazaniu się takiej czy innej książki, zdawkowych lub grzecznościowych recenzyj. Tylko zdarzenia literackie których już w żaden sposób nie można przemilczeć, prowokują naszą prasę do zamieszczania rozprawek krytycznych. Ale jakich? Dominuje stosunek do autora, jako zwolennika w życiu prywatnem takich, czy innych poglądów politycznych a o dziele mówi się tylko o tyle, o ile wywołuje ono swem działaniem zbyt wyraźne zadrażnienia tych poglądów.

Dziwniejszem jeszcze zjawiskiem jest, to, że w każdym n-rze pisma codziennego znajdzie się kolumna dla spraw ekonomiczno - gospodarczych, które są niewątpliwie niezmiernie ważne. Czyżby jednak sprawy kultury duchowej były mniej ważne od spraw ekonomicznych, a co gorsza od spraw kina i sportu? To też nasza dorastająca młodzież zna jak tabliczkę mnożenia nazwiska wszystkich asów sportowych, ale często młodzian, nawet z ukończonym średnim zakładem, nie bardzo dobrze wie, kim był Żeromski, nie mówiąc już o współczesnej literaturze, o której krążą wśród młodzieży tylko jakieś mętne wieści.

Czy winna temu literatura i pisarze współcześni? Niewątpliwie i ona także. Ale wobec siły i możności oddziaływania prasy codziennej przedewszystkiem ona jest odpowiedzialna za obniżenie poziomu zainteresowań kulturalnych wśród zerókich warstw społeczeństwa i młodzieży.

Władysław Sebyła.

Zamiast recenzji

MARJA DĄBROWSKA: Noce i dnie. Cykl czterech powieści. Tom I: **Bogumił i Barbara.** 396 str. 1932. Tom II: **Wieczne zmartwienie.** Str. 384. 1932. — Dalsze dwa tomy w druku. — Warszawa, J. Mortkowicz.

Po długoletnich studjach nad zboczeniami umysłowemi, znakomity psychjatra francuski Janet przychodzi do wniosku, że to, co się potocznie wydaje aktem psychicznym najpierwotniejszym a przeto najłatwiejszym, mianowicie poczucie własnej i otaczającego świata rzeczywistości, jest owszem czemś wysoce złożonem i względnie łatwo ulegającem nadwerężeniu. Zastrzegam, że przez „nadwerężenie poczucia rzeczywistości" należy tu rozumieć nie obłęd, w którym się wypacza słuszna ocena własnego znaczenia, stanowiska itp., tak, że chory ma siebie za samowar, czy za chińskiego cesarza, lecz zanik lub rozluźnienie tej podstawowej więzi, która mi daje niepodlegającą dalszej analizie pewność mego istnienia jako odrębnego podmiotu.

Uczony francuski może nawet nie przypuszcza, z jak bliska otarł się tu o najbardziej zasadnicze problematy filozofji absolutnej. Istotnie bo: zcalić rdzennie heterogeniczne pierwiastki świata, zneutralizować byt — przedmiot z wiedzą — podmiotem, to niejako **stworzyć** rzeczywistość. Świat stworzony tem się właśnie różni od swego Stwórcy, że w nim (świecie) ta tożsamość nie jest nigdy doskonała, nigdy absolutna, zawsze jest względna. Stopień zaś przybliżenia do tożsamości doskonałej decyduje o stanowisku hierarchicznem danej istoty żyjącej. W zwierzętach byt - przedmiot ma jeszcze stanowczą przewagę nad wiedzą - podmiotem: w człowieku składniki te dochodzą już do pewnej, zresztą chwiejnej równowagi; podług Hoene - Wrońskiego, celem absolutnym człowieka jest wyłonić z własnej wiedzy własny byt, przez to wytworzyć własną rzeczywistość absolutną, czyli osiągnąć nieśmiertelność.

O nowym cyklu powieściowym p. Marji Dąbrowskiej czytałem już sporo recenzyj — i, zaznaczam to z przyjemnością, same pochlebne. Wszędzie znalazłem mniej lub więcej trafne rozbiory psychologiczne pani Barbary i jej męża, ale nigdzie — analizy pneumatologicznej. Otóż cieszyłbym się, gdyby kto podchwycił rzucone przeze mnie napomknienie; bo ja tu nie piszę studjum, tylko pobieżną notatkę. Ułatwiając sobie zadanie, wypowiem w paru słowach, i niejako ubocznie, swój „literacki" pogląd na omawiane dzieło, potem zaś uściślę pokrótce specjalny punkt widzenia, o którym wspomniałem.

Otóż dla talentu p. Dąbrowskiej mam nietylko podziw, ale szacunek i miłość. Niema tu ani śladu tego kobiecego mizdrzenia się, które sprawia nieznośne wrażenie, iż autorka myśli nie o swym temacie, tylko o skokietowaniu czytelnika; mnie to niecierpliwi tak samo, jak gdy stenotypistka, zamiast patrzeć w tekst, robi oko do kolegi. Zalotność p. Dąbrowskiej ma sposoby daleko subtelniejsze: ujawnia się ona w niezmiernie dyskretnym humorze, najbliższym już może Perzyńskiemu, ale jeszcze bardziej homeopatycznym (np. rozmowa Barbary z pomyloną matką, albo z mężem po świeżo zapadłej decyzji, że się na pogrzeb radcy Joachima nie pojedzie). „Zacność artystyczna", rzetelność, nie potykająca się nawet na tak zdradliwym gruncie jak opowiadania dla młodzieży. Mowa prosta, wybitnie celowa i karna.

Od czasu do czasu doskonale konkretne metafory. Akcja bezwzględnie autonomiczna, nigdy nie gwałcona dla stłoczenia jej w książkę, a zarazem mistrzowsko wyzyskana dla charakterystyki osób od wewnątrz, co czyni zbędną naiwną technikę monologów autorskich (tak, że nawet nieliczne aforyzmy o „biednym człowieku" chętniebym opuścił). Podkreślam wyborny chwyt pisarski: autorka roentgenizuje bohaterów bardzo stopniowo i coraz wnikliwiej, jakby i sama poznawała ich dopiero w miarę rozwoju akcji i z biegiem ich życia. Ogromnie dodaje to sugestywności; przez cały tom pierwszy stałem jeszcze na uboczu, w drugim zostałem już wciągnięty przemocą i (mówię to bez przesady) niepokoiłem się, czy Daleniewski sprzeda Serbinów; trzeciego i czwartego czekam niecierpliwie.

A teraz:

Barbara jest typową **psychasteniczką** — choć nie w takim stopniu, którýby ją usuwał poza nawias ludzi względnie normalnych. Recenzenci podnoszą jej wyższość nad mężem pod względem inteligencji: ja tego właściwie nie widzę. Coprawda nasuwa jej się więcej niż jemu zagadnień; ale że jest zupełnie niezdolna do najprymitywniejszych bodaj rozwiązań, więc to pozornie większe bogactwo świadczy tylko o braku dyscypliny umysłowej. Barbara nie jest głupia, — wcale nie: lecz jest rdzennie bezpłodna psychicznie. Znamy z psychopatologji owe nieskończone, jałowe, nudne dla innych, dręczące dla siebie „problematy" tak niezdarnie małpujące spekulację filozoficzną: czemu góra jest wyższa od drzewa? ile jest okien na całym świecie? dlaczego trójkąt nie jest okrągły? itp. Pani Barbara takich pytań nie zadaje, aleby je zadawała, gdyby zasadnicze cechy jej umysłu wzmóc aż do rozmiarów patologicznych. Jej procesy psychiczne są niesforne, rozpierzchliwe, niezdolne do twórczej syntezy: niema w nich autogenji. Rzeczywistość pani Barbary jest dla niej samej czemś niepewnem zgoła, stale wymykającem się. W silnej gorączce doznawałem niekiedy wrażenia, jakby myśl moja patrzyła przez źle nastawioną lunetę: widzę wszystko, ale jakoś mętnie, bez należytej ostrości. Zdaje mi się, że Barbara stale ogląda samą siebie i swe życie w ten mglisty i lekko mdlący sposób. Nie czuje, czy ona naprawdę **jest**; nie potrafi tworzyć samej siebie. Nieuleczalnie brak jej jakiegoś uzupełniającego składnika, któryby zaktualizował jej potencjalną rzeczywistość. Czuje w sobie horror vacui, więc pożąda tego swego uzupełnienia, lecz pożąda równie bezwładnie, jakiemś raczej chemicznem powinowactwem. Nie znajduje go: i tutaj — sądzę — tkwi istotny powód jej wiecznych strachów. Barbara wie, że lada gwałtowniejszy powiew zewnętrzny zdmuchnie jej wewnętrznie niezcementowaną rzeczywistość.

A tym brakującym składnikiem, którego się chwyta jak tonący tratwy, jest dla niej najpierw erotyzm w postaci p. Toliboskiego. I nie dziw: płeć jest bowiem jednym z najkonkretniejszych i najłatwiej uchwytnych zjawów biegunowości. Potem zaś, tym czynnikiem zcalającym ma być kolejno: praca samodzielna — uniesienia patrjotyczne — małżeństwo z Bogumiłem — wieś — dziecko — dzieci — potem marzenia o mieście. Lecz Bogumił jest istotą dość wprawdzie przeciętną, jednak zbyt zwartą w sobie, zbyt samowystarczalną w znaczeniu psychicznem, aby się nadać do roli prostego składnika w jakimś androginicznym ideale. Toteż luźna osobowość pani Barbary z upływem lat rozkojarza się coraz bardziej. W rzadkich chwilach zadumy nad sobą, przypomina mi ona Peer Gynta, który zrywając płatek po płaku cebuli, chciał doszukać się jądra i nic nie znalazł.

Teraz już tylko wstrząsy z zewnątrz mogą powodować chwilowe krótkie spięcia p. Barbary z jej własną rzeczywistością. Ale wstrząsy rzadko bywają przyjemne. I gdy zajdzie co pomyślnego, Barbara uczuwa coś w rodzaju wstydu; aby nie spłoszyć szczęścia, woli sama się spłoszyć. Udaje, że nie dostrzega żadnej pomyślności, podobnie jak rolnik udaje, że nie widzi wytęsknionego deszczu, iżby deszcz, zauważywszy jego radość, nie ustał mu naprzekór. Powieściowi ludzie szczypią się w rękę, by sprawdzić, czy nie śpią: tak pani Barbara tylko wtedy doznaje realności swego istnienia, gdy sprawi ból sobie lub mężowi. Oto prawdziwy powód jej **mechancetè** (jak to po polsku? bezserdeczność?) — choć złą kobietą nie jest ona wcale — i jej samodręczycielstwa.

Bovaryzm... Tak, napozór to słowo się narzuca. A jednak, sądzę, byłoby ono tutaj zgoła nie na miejscu. To, co Barbarze dolega, jest czemś o wiele bardziej dogłębnem niż kontrast wybujałej wyobraźni z szarą rzeczywistością. Powtarzam: w mojem pojęciu, problemat tu poruszony jest natury nie psychologicznej, ale pneumatologicznej.

Dixi quod potui.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Na przełomie

Stosunek publiczności do teatru jest zależny od ogólnej konjunktury, od prądów i nastrojów nurtujących zbiorowość. Możnaby zaryzykować tezę, że w okresach równowagi materjalnej, dobrobytu, zwraca się ona raczej ku teatrowi rozrywkowemu, podczas gdy w okresach depresji duchowej, wśród ciężkich warunków życiowych szuka się w teatrze czegoś więcej, niż rozrywki, pragnie odnaleźć echa dręczących zagadnień, dostrzec próby ich rozwiązania.

Po wojnie przyszła gorączka nowatorstwa, gwałtownego poszukiwania nowych dróg. Zagotowało się w państwie sztuki, a po kilku latach spienione fale, jak zwykle po burzy opadły, układając się w równą, spokojną, lustrzaną taflę. Kino i music-hall zaczęły zagrażać nie egzystencji, ale... frekwencji teatrów. Chcąc wytrzymać współzawodnictwo ekranu i „nadscenek", teatry na gwałt starały się... dostosować do niewysokiego poziomu artystycznego kina i rewji, dostarczając jak najbardziej „atrakcyjnego" towaru.

Artystyczne prądy powojenne, względnie te, które wojnę przetrwały — oczyściły tereny sztuki z przeżytków, utorowały szlak postępu. Dzisiaj zjawiska, któreby przed 10-ciu nawet laty wydawały się potworne — nie dziwią, ani nie rażą. T. zw. nowa sztuka nietylko zdobyła sobie prawa w twórczości literackiej, ale w postaci sztuki stosowanej, wtargnęła do naszych mieszkań, rozpanoszyła się na ulicach gąszczem szyldów i reklam. Wyśmiewana początkowo architektura ogarnęła gmachy reprezentacyjne. Najmniej silnie odbiła się ta ewolucja w teatrze. Jedynie bodaj dekoracje mówią nam o zaszłych zmianach w guście i smaku.

Powojenny przełom w sztuce oznacza poszerzenie zakresu motywów artystycznych, wzbogacenie tworzywa poetyckiego rekwizytami zaczerpniętemi z nowoczesnego miasta i techniki współczesnej. Było rzeczą naturalną, że wiek elektryczności i pędu musiał znaleźć swe odbicie w sztuce.

Wraz ze wzbogaceniem tematycznem, przyszła rewizja wartości formalnych. Do nowej treści trzeba nowej formy. Forma jest najbardziej bezpośredniem znamieniem artysty. W formie przejawia się odrazu indywidualność twórcy. Ten sam temat może służyć kilku odrębnym wersjom formalnym, które stanowić będą odrębne utwory. Bo zmiana formy, pociąga zmianę w treści. Dlatego w teatrze tak ważną rolę gra ujęcie reżyserskie, realizacja sceniczna utworu.

Ale o tem nie chcą przeważnie słyszeć koryfeusze naszej krytyki. Dla nich jest to sprawa podrzędna. Poprawny szablon — oto ich ulubiona formuła, oto nad czem się rozpływają z zachwytu. Śmielsze próby wprowadzenia nowych efektów uważają za grzech przeciwko ich... zasadom. Zasadom? Ba, kiedy przyjrzawszy się im bliżej, widzimy, że w przeważnej mierze nie są to zasady estetyczne, ani kryterja filozoficzne, tylko zwykłe „widzi mi się". Stąd pochodzi dowolność i przypadkowość sądów. Nie wymagamy od krytyka, aby głuszył w sobie swoje sympatje, czy pokrewieństwa duchowe — tego nie da się uniknąć. Zresztą subjektywizm nie jest bynajmniej groźny. Krytyk może sympatyzować z tym, czy innym typem twórczości, ale musi umieć wydobywać na jaw wszystkie elementy budowy dzieła. Pobrzmiewa to niemal truizmem, a przecież nazbyt często jesteśmy świadkami, jak krytyk gubi się w labiryncie perypetyj fabularnych, zapominając, że fabuła jest tylko jednym z czynników konstrukcyjnych dzieła, że nie można ograniczać się do dyskutowania przygód bohaterów. Już Schopenhauer w swojej „Metafizyce i estetyce" zauważył trafnie, że „tragicy greccy używali do swych arcydzieł tematów powszechnie znanych i nieraz już wyzyskanych w twórczości dramatycznej". Istotnie, mity służące za podkład tragedyj greckich były powszednie dla większości widzów, a jednak fakt ten nie mógł zniweczyć uroku arcydzieł. Albowiem nie „treść", nie temat, ani nie nagie zdarzenie życiowe stanowi wartość i cenę dzieła: dopiero artystyczne przetworzenie, transformacja wypadków znanych, lub nieznanych, daje rozkosz czytelnikowi. Zdarzenia, same przez się interesujące, nie tworzą jeszcze — to jasne! — dzieł sztuki.

Wydobycie związków między dziełem, a jego epoką, lub życiem prywatnem autora — bywa bardzo zajmujące, jako przyczynek do psychologji twórcy, do poznania stosunku autora do świata codziennego, ale nie mówi jeszcze o wartości dzieła. „Nader często — pozwolę tu sobie zacytować własne słowa — zdarzenia życiowe służą jedynie za mało znaczące tło pod artystyczne koncepcje autora. Krytyka jest właśnie od tego, żeby wskazać ich znaczenie dla budowy utworu: żeby wyłuszczyć wzajemny stosunek czynników konstrukcyjnych, składających się na całość dzieła" („O zadaniach krytyki" — Dzien. Pozn. z 8.V.29).

Publiczność dzisiejsza smakuje najbardziej w utworach, które przedstawiają jej fakty z życia codziennego widziane w zwierciedle sztuki. Angielski psycholog James Sully tłumaczy w ten sposób przyjemność, której doznajemy w teatrze realistycznym czy naturalistycznym: „Czarujące złudzenie" ogarnia nasz umysł; dzięki skłonności do antycypowania wydarzeń, mających pewne podobieństwo z temi, które przeżywamy w życiu wpadamy w stan podniecenia; zaczynamy wierzyć w rzeczywistość („życiową") utworu.

Jeżeli powinniśmy demaskować spekulowanie pisarzy i krytyków na owym guście publiczności do sztuk szablonowych, łatwostrawnych, miłych, zaprawnych nieraz pikanterja, zamiast... talentem, jeśli powinniśmy wytykać śmiało wypracowania pozbawione inteligencji twórczej, techniki poetyckiej, będące jedynie kasowym „towarem" — niema celu ani sensu potępiać chęci ujrzenia w twórczości wypadków życiowych przełożonych na język sztuki. Chodzi tylko o to, by przekład był... dobry.

Realizm nie wyczerpuje możliwości teatru współczesnego. Oczywiście! ale my nie zamierzamy propagować jakiejś szkoły, doktryny literackiej, jeno — dobry teatr. Trzeba zwracać uwagę publiczności na istotne walory, czy błędy dzieła, a najpewniej można to uczynić przez podchodzenie do twórczości od strony formy i konstrukcji artystycznej.

Nie znaczy to, żeby krytyka miała ograniczać się do... formalistyki, do nudnej oceny budowy, do szkolarskich tępych, roztrząsań „prawideł" konstrukcyjnych... Forma obejmuje cały materjał twórczy, z którego autor czerpie tworzywo sztuki. Jeden przepaja swe dzieło głębią przemyśleń, innego porywa samo widowisko, ruch, rytm zdarzeń na scenie, ów zaś studjuje charaktery, typy. W tem tkwi właśnie bogactwo teatru. To jest tęczowa gama odcieni, rodzajów, która dzisiaj niestety zbyt rzadko raduje nasze oczy. Dlaczego?

Ponieważ przeżywaliśmy ostatnio okres upadku zainteresowań dla spraw sztuki, literatury, teatru. Interesowano się głównie skandalikami ze świata artystycznego, sprawami personalnemi w związku z obsadą tej czy innej placówki. Nieliczne próby dyskusyj na żywotne tematy literackie, dawały mierne wyniki. Nie rozpalały umysłów. Nie pobudzały szerokiej publiczności. Jakaś apatja ogarnęła pisarzy i odbiorców towaru artystycznego.

Obecnie mnożą się znaki, że zaczynamy wchodzić w przełom.

Ażeby sztuka docierała jak najdalej, i jak najprędzej do szerokich mas, winna oddychać odpowiednio nastrojoną atmosferą, którąby ułatwiała rezonans dzieła w społeczeństwie. Napięcie, prężność ruchu artystycznego wytwarza także twórcza, torująca drogę zrozumieniu—krytyka.

Jarosław Janowski.

Przegląd prasy

O wyższy poziom.

Dużą szczerością w stawianiu tez odznaczają się dwa artykuły J. E. Skiwskiego (Tygodnik Ill. nr. 2 i 4) rozprawiające się z bolączkami współczesnego życia. „W społeczeństwie rośnie z każdym dniem silniej pragnienie oczyszczenia się od nałogów bałkańskich... trzeba przełamać jeden przesąd zakorzeniony... o t. zw. „schamieniu" dzisiejszego społeczeństwa, o jego niewrażliwości na „wartości duchowe". Mały kontakt pomiędzy pisarzem, artystą — a publicznością ma swe źródło w tem, że hoduje się jak najcenniejszy kwiat przekonanie, iż do czytelnika (odbiorcy) trzeba się „nagiąć", „utrafiać do niego", „zniżać" się do jego poziomu. Ależ — on woła o wyższy poziom! Ten głos trzeba usłyszeć".

Błogosławieństwo kryzysu.

Nad przyczynami obecnego kryzysu zastanawia się p. Edward Woroniecki w artykule p. t. „Tragiczny błąd naszej epoki" (Gazeta Polska dn. 8. III): „Już w naturze człowieka leży, że w pomyślnych warunkach zapomina rychło o wszelkim krytycyźmie i wpada w szał zarozumiałości i ślepego zaufania w swe siły. Oducza się myśleć logicznie, zrzekając się łacno szlachetnego prymatu inteligencji na rzecz sukcesu i sprytu politycznego... Może kiedyś będziemy (kryzysowi) błogosławili. Wydarł on ludzkość z jadowitych wyziewów Mamona i płaskich uciech. Zmusił ją do szukania ratunku. Do myślenia. Do krytyki. Tej właśnie krytyki, która wraz z wyobraźnią stanowi najdroższy skarb umysłu ludzkiego, odróżniający nas od zwierzęcia.

Wielkie przemiany.

Literatura nie może trwać na marginesie życia; pisarze nie mogą zatykać uszu przed wielkiemi przemianami, jakim ulega świat. Życie codzienne przynosi nam raz po raz wydarzenia doniosłe dla ukształtowania się oblicza narastającej rzeczywistości. Ale większość naszych pisarzy jakby ogłuchła, jakby nie widziała dokonywujących się zmian. A przecież właśnie artyści winni stać na czele idącej fali. Być wysuniętemi naprzód placówkami wypatrującemi świtu.

„Gdzież są artyści, poeci i pisarze—zapytuje p. **Władysław Wolert (Przegląd Literacki** nr. 1 r. 1932) — co mogliby nas wyprowadzić z chaosu dróg pogmatwanych? czego milczą artyści i pisarze, kiedy właśnie głośno mówić powinni? Dlaczego milczą?

Podobne zagadnienie porusza **Ludwik Hieronim Morstin (Ill. Kurjer Codzienny):**

„Dokąd prowadzi ta ewolucja, ku lepszej czy gorszej erze bytowania ludzkości na ziemi? Czasem zdaje się, że pytanie o sens straciło sens!

Od pesymizmu jednak może i powinna nas uchronić wiara w posłannictwo ludzkości na świecie i w uszlachetniającą rolę cywilizacji. Ale, jak ktoś słusznie zauważył, cywilizacja to nie jest coś gotowego i niezmiennego: jest to coś, co się tworzy i przekształca, jest wynikiem wysiłków jednostek i wszystkich narodów. Rola pisarzy w mojem zrozumieniu polega na sumiennem obserwowaniu i pokazywaniu mniej świadomym tych przemian... Na to, żeby wyjść z chaosu, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę, że się żyje w chaosie: umieć z ogólnego zamętu pojęć wyławiać istotne wartości postępu".

Narzeka się na upadek zainteresowania literaturą, na małą poczytność książek, ale jakie są tego przyczyny?

„Należy przedewszystkiem zdemaskować tezę — oświadcza p. **Zenon Kosidowski (Dwutygodnik literacki** nr. 1), że wszystkiemu winien kryzys ekonomiczny. Teatr Pawlikowskiego i Wyspiańskiego zakwitnął na glebie b. zaboru austrjackiego, który zawsze był ubogi. Poczytność książek Żeromskich, Kasprowiczów, Staffów, Berentów, Dygasińskich, Przybyszewskich przypada na okres — ekonomicznie bynajmniej nie różowy. A zresztą na czem polegałoby to zadziwiające prestidigitatorstwo, że na kino i mecze sportowe ludzie pieniądze znajdują? Chodzi poprostu o to, aby im dać to, co ich wzrusza i co znajduje oddźwięk w ich sercach. A tego im dzisiejsza sztuka nie daje".

Maurice Ravel w Warszawie

Wielkie zaciekawienie wśród sfer muzycznych wzbudził dawno już spodziewany przyjazd Maurycego Ravela. Na ostatnim piątkowym koncercie w wypełnionej po brzegi sali Filharmonji mieliśmy sposobność poznać go w podwójnym charakterze, jako dyrygenta i jako kompozytora kilku nowych, w Warszawie dotąd nieznanych utworów.

W sonacie „Le Tombeau de Çouperin", prowadzonej może cokolwiek za miękko przez F. Falla, kapelmistrza opery w Brnie, autor wyraźnie pokazuje swój intelektualny profil. Nie pragnie oszałamiać „rewelacjami" nie szuka i nie rozwiązuje problemów, lecz dąży celowo i z całą starannością do odtworzenia swej czysto muzycznej wyobraźni. Oddając hołd Couperinowi doskonale wczuwa się w styl starego mistrza, potrafi jednak przeobrazić go z całą swobodą w styl współczesny.

Koncert fortepianowy, w świetnym wykonaniu p. Margerity Long, prof. konserwatorjum paryskiego, posiada cokolwiek odmienny charakter. Zanadto jaskrawo stara się tu Ravel swą nadzwyczajną techniką kunsztu orkiestracyjnego nadać utworowi cechy istotnej wartości wewnętrznej, duchowej. Szata instrumentalna przesłania zanadto treść dźwiękową. Najbardziej wartościową i przekonywującą jest ostatnia część „Presto", pełna życia i ruchu. Doskonale unerwiony rytm porywa wyoraźnię słuchaczów.

Po przerwie publiczność zgotowała gościowi francuskiemu gorącą owację, a profesorowie Joteyko i Maklakiewicz, wręczając mu wieniec, poprosili go o przyjęcie tytułu członka honorowego Stowarzyszenia kompozytorów polskich.

Pod dyrekcją kompozytora usłyszeliśmy jeszcze znany nam już dobrze poemat „Walc", o którym można tylko powiedzieć, że byłoby lepiej, gdyby kto inny stał przy pulpicie dyrygenckim. Wogóle mogliśmy się przekonać, że zdolności kompozytorskie u Ravela nie idą w parze z umiejętnością prowadzenia orkiestry: zjawisko zresztą bardzo częste i dobrze nam znane.

Na zakończenie koncertu kapelmistrz Fall dyrygował Mussorgskiego „Obrazki z Wystawy" w instrumentacji Ravela. Podobnie jak w suicie „Tombeau de Couperin", tak i tu nie chciał kompozytor narzucić utworowi własnej inwencji, przeciwnie, starał się o całkowite utrzymanie stylu, dodając tylko kompozycji szlachetnego blasku i bogactwa dźwiękowego, właśnie dzięki swemu genjalnemu zmysłowi instrumentacyjnemu.

W wykonanych utworach mogliśmy poznać wszystkie cechy talentu Ravela: W „Hołdzie Couperinowi" wyczuwa się umiłowanie klasycyzmu, połączone z dążeniem do najczystszej i najszlachetniejszej formy współczesnej muzyki, w Koncercie inwencję instrumentalną; w ostatniej suicie w brzmieniu orkiestry i kolorystyce dźwiękowej przejawił się istotny genjusz artysty.

L. G.

Signum temporis

P. Kazimiera Iłłakowiczówna, znakomita poetka, oddana cichej, samotnej uprawie piękna — nie występuje publicznie, odczytów nie wygłasza — jak sama stwierdza w udzielonym przez siebie przed kilku dniami wywiadzie.

Ale czujność i wrażliwość głębokiej artystki jest niezawodna. Oto, gdy czasy zmieniają się, gdy rzeczywistość piętrzy się groźnie, a w ciszę literackich gabinetów wdzierają się pomruki rozgniewanej na małość ludzką historji — Iłłakowiczówna zrywa się, wychodzi z samotni i jedzie tam, gdzie przecinają się i splątują w jeden węzeł wszystkie problemy współczesne.

K. Iłłakowiczówna wie, że dziś już ani pisarz, ani krytyk, ani intelektualista nie może się wykpić byle frazesem od prawdy czasów dzisiejszych, z którą dziś stanął oko w oko każdy najprzeciętniejszy człowiek. Dlatego sama staje do apelu i czynnem stwierdza gotowość współpracy w sprawie wszechludzkiej, od której nie wolno się uchylać. Wygłasza odczyty w Genewie. Mówi tam „rzeczy proste i oczywiste", a jednak dla elity genewskiej wzruszające i nowe. Mówi o współczesnej wieży Babel, o pomieszaniu języków, na które jakże trudno znaleźć receptę. „Nieporozumienie prowadzące do nieufności, nieufność dojrzewająca w nienawiść, nienawiść wybuchająca walką". Otóż to — u źródła tego stanu rzeczy maleńki kamyk — **nieporozumienie**, który straca lawinę kataklizmów na głowy nieszczesnej ludzkości. Trzeba nam dziś porozumienia. Porozumienie nastapić może tylko przez rozum. Dlatego tylko rozum może dziś położyć kamień węgielny pod wielkie, moralne rozbrojenie.

Kto ma tę „odtrutkę" znaleźć? „Powołani do tego są przedewszystkiem artyści — w pierwszym rzędzie literaci wszelkiego rzędu — publicyści, powieściopisarze, poeci" — mówi Iłłakowiczówna. „Oni to wykuwają oręż myśli — słowo, oni też niem władając, mogą tworzyć takie nastroje odłamów ludzkości, jakie uznają za stosowne. **Trzeba stworzyć zmowę ludzi piszących przeciwko nienawiści...**

A więc wy poeci, wy publicyści, wy uczeni, wy pisarze! Iłłakowiczówna utrafiła w samo sedno problemu. Utrafiła też w same serca słuchaczy. Sztywni Anglicy w Club International płakali, niezwykły entuzjazm zapanował po odczycie. Nietylko pokój poetki, lecz nawet schody w hotelu usłano kwiatami. Oto co mówi o tem sama: „Nie zapomnę nigdy twarzy zapłakanych i zasłuchanych w Club International! — ale mój Boże, czegoby trzeba dokonać, żeby **naprawdę** na to zasłużyć!"...

Dokonać trzeba dużo, ale najwyższy czas już zacząć. K. Iłłakowiczówna rzuciła myśl oczywistą, wypowiadając ją prostemi słowami. Wiele odczytów wygłasza się dziś po wszystkich miastach świata, ale ludzie nie płaczą, nie krzyczą, nie rzucają naręczy bzów, róż i tulipanów. Aby mieć oddźwięk taki — trzeba utrafić w otwarty nerw, w żywiołowy sens epoki.

Ideja, którą rzuciła p. Iłłakowiczówna, ideja, którą precyzujemy na łamach naszego pisma i zamierzamy rozwinąć — jest prawdziwa, jest żywa, jest **z ducha epoki.**

Ideja ta pójdzie naprzeciw światu i ludziom, poruszy mózgi i serca i musi zwyciężyć!

br. bor.

Kupujcie „Z"

Po nową treść

Józef Wojciechowski: Po nową treść. Z kuźni ideowej Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Poznań 1932, str. 88.

Książka ta dowodzi, że w kołach młodzieży indyferentyzm ideologiczny i apatja umysłów nie są tak wielkie, jak się to pozornie wydaje. Interesujące i dobrze przemyślane prace na temat kryzysu cywilizacji współczesnej, powstać mogą tylko w atmosferze rzetelnego i żarliwego szukania prawdy naszych czasów. Młodzież dzisiejsza, stanąwszy na rozdrożu dwu epok, pomiędzy ścierającemi się blokami wrogich sobie postaw i prądów społecznych, usiłuje ustosunkować się pozytywnie do otaczających ją zewsząd problemów.

Wojciechowski przygląda się bacznie charakterystycznym zjawiskom i przemianom doby obecnej i stara się uwzględnić je wszystkie w kreślonym przez siebie obrazie rzeczywistości. Ostateczna platforma, obrana przezeń jako punkt wyjścia do oceny procesów społecznych, gospodarczych i politycznych budzi poważne zastrzeżenia zasadniczej natury. Ponieważ jednak wnika on głębiej w istotę kryzysu współczesnego, sięgając do jego podstaw moralnych, nietylko ekonomicznych — uważam za słuszne podjąć na temat zagadnień powyższych i stanowiska sprecyzowanego względem nich przez autora książki „Po nową treść", obszerniejszą dyskusję. Jest to tembardziej konieczne, że redakcja naszego pisma traktuje bardzo poważnie próby kształtowania oblicza ideowego przez młodzież polską. Dlatego — po tej krótkiej notatce — zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Zet" większy artykuł dyskusyjny na temat pracy J. Wojciechowskiegi i poglądów jego towarzyszów.

jb.

O Mesjaniźmie

„O Serbsko - Jugosłowiańskim Mesjanizmie i o Boże Lovricu" wygłosił dnia 11 bm. w Stowarzyszeniu Młodych Słowian (Chmielna 32) przy sali wypełnionej odczyt książę Nikola Vlatkovic, literat i publicysta słowiański, pracujący od szeregu lat na polu zbliżenia wzajemnego Słowian wogóle, a polsko - jugosłowiańskiego w szczególności. Należy podkreślić ruchliwość Stowarzyszenia, które problemat zbliżenia duchowego poszczególnych narodów słowiańskich, na płaszczyźnie jednak, jak to we wstępnem słowie zaznaczył p. dr. Dressler, ogólnosłowiańskiej, a nie egoistycznej, z całą żywotnością stawia jako zagadnienie czołowe swojej działalności, oraz dobiera prelegentów, znajomością tych zagadnień odpowiadających swemu zadaniu.

Ks. Nikola Vlatkovic, potomek starodawnej rodziny serbskiej, jest doskonałym znawcą stosunków, jakie panowały przed wojną i panują obecnie na ziemiach tworzących państwo Jugosłowiańskie, orjentuje się również bardzo dobrze we wszelkich sprawach, dotyczących zagadnień słowiańskich. Wielokrotnie występował na łamach różnych czasopism środkowo - europejskich, przedstawiając w należytem oświetleniu i z dużą odwagą m. in. takie zagadnienia, jak np. prawa Polski do morza itp. Obecnie pisze na ten temat obszerniejszą pracę.

Tematem odczytu było życie i twórczość Boże Lovrica, poety - filozofa, największego z przedstawicieli Mesjanizmu jugosłowiańskiego doby obecnej. W krótkim życiorysie skreślił prelegent dzieciństwo Lovrica, jego młodość, studja prawnicze w Zagrzebiu i Wiedniu.

Wreszcie okres wytężonej pracy pisarskiej (od r. 1911 w Pradze). Z dzieł jego na wyróżnienie zasługują, „More", „Kobiety", komedja „Spadkobiercy", dramaty „Odkupienie", „Kapitan Niko", a nadewszystko najpotężniejszy z nich, trzyaktowy dramat „Syn", który traktować należy jako kwintesencję Mesjanizmu jugosłowiańskiego. Wpływ na twórczość Lovrica wywarli z Polaków Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański oraz Chopin, zajmuje się bowiem L. również muzyką. Z punktu widzenia krytycznego traktowali Lovrica, z ważniejszych, Konstanty Balmont, który uważa go za najleższego współczesnego poetę europejskiego, oraz wprowadza go do literatury francuskiej, Humberto Urbani, profesor literatury w Trjeście, napisał studjum „Boże Lovric", w którem stawia go ponad wszystkich pisarzy jugosłowiańskich, nawet ponad Józefa Kosara i Mirosława Krleża, Ludwik Zweig uważa poetę za talent oryginalny, swoisty, rzadko spotykany.

Kwintesencja Mesjanizmu jugosłowiańskiego zawarta jest we wspomnianym dramacie „Syn", w którym ujmuje filozofję i psychologję swego narodu. Mesjanizmem tym, tą filozofją życia, jest bezgraniczne oddanie się jednostki sprawie narodowej.

Charakterystycznemi momentami konfliktu dramatycznego, są tu przeciwstawione sobie: kult matki — poczuciu sprawiedliwości, oraz miłość do kobiety — przyjaźni pobratymczej. Zawsze jednak i wszędzie zwycięża pierwiastek moralny.

Ciekawy ten odczyt zakończyły doskonałe recytacje III-go aktu „Syna" w wykonaniu uczniów Szkoły Dramatycznej.

Mirosław Starost.

Prenumerujcie „Z"

Kronika

„Litart", krakowska grupa poetycka wykazuje ożywioną działalność, ostatnio urządziła ona na Uniw. Jag. wieczory literackie: „Profil Krakowa" i „Parada parodji".

Berenta zbiorowe wydanie „Pism (6 tómów) przygotowuje wydawnictwo J. Mortkowicza w Warszawie.

Gustaw Morcinek wydał ostatnio powieść o charakterze regjonalnym p. t. „Wyrąbany chodnik", którą omówimy w jednym z najbliższych numerów „Zet'u".

Józefa Birkenmajera tomik poezji p. t. „Wycieczka" zawierać będzie również utwory typu regjonalnego (Kraków i Tyniec).

Józef Mondschein (adres: Budapeszt, Föposta, poste restante) przygotowuje wydawnictwo dziesięciu najlepszych powieści polskich w języku węgierskim.

„Kwadryga", warszawska grupa poetów urządziła w marcu w Krakowie wieczór poetycki, w którym wzięli udział: Władysław Sebyła, Stefan Flukowski, Aleksander Maliszewski i Stanisław Ciesielczuk.

„Dwutygodnik Literacki" w Poznaniu wydaje swoim nakładem tom poezji Marjana Niżyńskiego p. t. „Morfina".

Adrjan Zagórna wygłosił 8 marca we Lwowie odczyt o impasie w obecnej literaturze i kulturze polskiej p. t. „Ślepy tor".

„Środy literackie" urządzane co tydzień w siedzibie Zw. Zaw. Literatów Polskich (w murach dawnego klasztoru pobazyljańskiego przy ul. Ostrobramskiej) przekroczyły niedawno liczbę 150. Z ostatnich „śród", które cieszyły się wielką frekwencją publiczności i wzbudziły szczególne zainteresowanie elity wileńskiej, wymieniamy: odczyt znakomitej artystki Stanisławy Wysockiej o teatrze współczesnym, referat Jerzego Brauna o Hoene Wrońskim i ostatnio — dyskusja na temat projektów pomnika Mickiewicza w Wilnie. W dyskusji zabierali głos: Ferdynand Ruszczyc, Ludomir Ślendziński, konserwator Stanisław Lorenz, Witold Hulewicz i w. in. W wyniku dyskusji uznano projekt Henryka Kuny, nagrodzony przez jury za najlepszy z pośród nadesłanych i najbardziej nadający się do wykonania.

Teatr Wileński wystawił w bieżącym sezonie szereg sztuk autorów polskich. Z dawnego repertuaru grane były: „Horsztyński", „Panna mężatka", „Pan Geldhab", „Róża", „Panna Maliczewska", z repertuaru współczesnego wystawiono, komedję Tadeusza Łopalewskiego p. t. „Aurelciu nie rób tego", komedję Kazimierza Leczyckiego i Józefa Mackiewicza p. t. „Pan poseł i Julja", sztukę K. A. Czyżowskiego: „Virtuti militari". Bardzo ciepło została przyjęta przez publiczność zagrana tu dwukrotnie przez zespół objazdowy „Reduty" (Adwentowicz i Mazarekówna) komedja St. Miłaszewskiego p. t. „Drugie imię miłości". W początkach maja r. b. teatr polski w Wilnie będzie obchodził 25-lecie swego istnienia.

Literaci wileńscy mimo niepomyślnych konjunktur wydawniczych przygotowują nowe prace. A więc **Marjan Zdziechowski** w najbliższym czasie wyda swe obszerne studjum o Chateaubriandzie, **Wanda Dobaczewska** wydaje u Chomińskiego tom poezyj p. t. „Nasza dola" o zabarwieniu wybitnie regjonalnem oraz kończy powieść p. t. „Plebejusz". **Eugenja Masiejewska** oddała do druku tom nowel „Kłopoty pani Nitiski", **Witold Hulewicz** ukończył przekład „Księgi Godzin" Rilkego (z której wyjątki drukujemy w bież. n-rze) i pracuje nad książką o Chopinie oraz książką dla młodzieży o Wilnie, **Jerzy Ostrowski** pisze nową powieść, **Tadeusz Łopalewski** wkrótce będzie drukował w odcinku jednego z pism warszawskich powieść p. t. „Prowincjusze", **Jerzy Wyszomirski** po powrocie z kilkumiesięcznego pobytu w Paryżu drukuje w Wilnie cykl feljetonów na tle swych wrażeń paryskich.

Hoene-Wrońskiego zbiorowe wydanie w języku francuskim opracowują i przygotowują do druku: Francis Varrain, autor kilku niezrównanych prac o Wrońskim, filozof i matematyk, oraz muzykolog Ernest Britt.

Stulecie Walter - Scotta. Za kilka tygodni Anglja będzie obchodzić 100 rocznicę zgonu Walter - Scotta, który zmarł w kilka tygodni po Goethem. Mało komu wiadomo, że Walter-Scott rozpoczął swoją karjerę literacką od tłumaczenia dzieł Goethego. Pierwsza oryginalna powieść Walter-Scotta „Wawerley" ukazała się w roku 1814.

REDAKCJA: Warszawa—Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30 tel. 10-20-58. Kraków—Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9. Lwów Tymon Terlecki, Marka 12, tel. 27

ADMINISTRACJA: Warszawa: Stanisław Wachal, Inżynierska 7 m. 30. tel. 10-20-58. Kraków: Feliks Setkowicz Słoneczna 15 m. 9 Lwów: Józef Radzimiński, Strzała 8 tel. 40-35

Konto P. K. O.: 153.210

Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł.

Druk. „Nowogrodzka" Warszawa, Tarczyńska 4. Tel. 680-20.